



1
1985

TATERNIK

TREŚĆ

Postanowienia Biura Politycznego KC PZPR	1
U źródeł góroznawstwa (<i>M. Popko</i>)	2
Alpinizm polski anno Domini 1984 (<i>A. Paczkowski</i>)	3
Zmienić regulamin stopni... i co da- lej? (<i>L. Zabdyr</i>)	6
O linach nigdy za wiele (<i>A. Lwow</i>)	9
Niebezpieczeństwo ostrej choroby gór- skiej (<i>M. Stępka</i>)	11
W górach Ameryki, 1980 (<i>J. Majer</i>)	13
Noszak — po 25 latach (<i>J. Wala</i>)	15
Lahul 1979 i 1984 (<i>A. Zboiński</i>)	18
Ośmiotysięcznik za osiem tysięcy (<i>K. Palmowska</i>)	20
Dhaulagiri zimą 1984—1985 (<i>A. Bil- czewski</i>)	22
Góry w centrum Warszawy (<i>J. Nyka</i>)	24
Trzy rekordy na Cho Oyu (<i>A. Za- wada</i>)	25
Fitz Roy w jedenaście dni (<i>P. Lutyń- ski</i>)	29
Kaukaz zimą 1985 (<i>R. Kotakowski</i>)	33
O czystości wspinaczki w praktyce (<i>A. Kurowski, L. Milczarek i J. W. Kubań</i>)	33
Jak można wracać z Buczynowej (<i>Z. Piotrowicz</i>)	35
Sezon zimowy 1984—85 w Śnieżnych Kotłach (<i>W. Janowski</i>)	36
Reseau des Aiguilles (<i>K. Dudziński</i>)	37
Nowe sensacje alpejskie (<i>J. Nyka</i>)	38
Co nowego w Tatrach?	39
Ruch skałkowy	40
Wyprawy w góry egzotyczne	41
Jaskinie i speleologia	43
Sprawy organizacyjne	45
Pożegnania	46
Sprzęt i ekwipunek	47
Recenzje	49

Na okładce: Południowe ściany Cho Oyu (8201 m) z polską drogą i obozami. Artykuł na s. 25.

Zdjęcie obok: Wspinaczka na Cho Oyu zimą — Andrzej Heinrich na uskoku lodowym pod „Sinusoidą”.

Oba zdjęcia: Andrzej Zawada

TATERNIK

Postanowienia Biura Politycznego KC PZPR

(PAP) Wśród problemów, które w ostatnim okresie rozpatrywało Biuro Polityczne KC PZPR znalazły się również zagadnienia kultury fizycznej i sportu, które uznane zostały za ważny element polityki społecznej partii i państwa. Biuro Polityczne podkreśliło znaczenie kultury fizycznej dla rozwoju sił twórczych i stanu zdrowia społeczeństwa, wychowania młodego pokolenia i wzmocnienia potencjału obronnego kraju. Zapadły postanowienia w sprawie rozwoju tej dziedziny w najbliższych latach.

Stwierdzając, iż uzyskiwane dotychczas efekty nie nadążają za społecznymi potrzebami i oczekiwaniami, Biuro Polityczne wiele uwagi poświęciło sprawom wychowania fizycznego dzieci i młodzieży oraz upowszechniania sportu i rekreacji w miejscu pracy i zamieszkania. Postanowiono, iż odpowiednie organy administracji państwowej opracują do końca 1985 r. program wychowania fizycznego dla przedszkoli oraz wprowadzą nowe programy wf w szkołach podstawowych i średnich, uwzględniając obowiązkowe sprawdziany sprawności fizycznej na początku i końcu roku szkolnego. Oczekuje się, iż władze wojewódzkie w swych planach uwzględnią także potrzeby wychowania fizycznego i sportu w szkołach. W upowszechnianiu sportu wśród dzieci i młodzieży ważną rolę odegrały igrzyska młodzieży i spartakiady, które stały się podstawą systemu kultury fizycznej w naszym kraju. Dlatego za cel uważa się kontynuowanie i rozszerzenie ruchu spartakiadowego — częściej i bardziej systematycznie powinny być organizowane masowe zawody i imprezy. Organizatorzy letniego i zimowego wypoczynku dzieci i młodzieży już w bieżącym roku uwzględnią w programach większą liczbę powszechnie dostępnych zajęć sportowo-rekreacyjnych.

Na początku lat osiemdziesiątych (1980-82) znaczne straty poniosła pracownicza kultura fizyczna. Odrobienie tych strat wymaga zwiększonej aktywności wszystkich ogniw społecznych organizacji działających na terenie zakładów pracy. Biuro Polityczne zwróciło się do Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych i federacji związków zawodowych, zakładowych organizacji związkowych, ZSMP i ogniw organizacji kultury fizycznej o upowszechnienie różnorodnych form kultury fizycznej, sportu i rekreacji wśród pracowników i członków ich

rodzin. Z bardziej atrakcyjną ofertą programowo-organizatorską powinny wystąpić TKKF, LZS, AZS, SZS, ZSSP, „Start” oraz LOK.

W minionym 40-leciu sport polski zanotował wiele wartościowych sukcesów. Aby utrzymać dotychczasową pozycję we współzawodnictwie międzynarodowym niezbędne jest unowocześnienie organizacji sportu w naszym kraju. Jeszcze w br. ma być wprowadzony bardziej efektywny system doskonalenia kadr trenerskich i instruktorskich — ściślejszego powiązania wymaga praktyka trenerska z nauką i wszechstronną opieką lekarską. Niezbędne jest odmłodzenie kadry narodowej i rozszerzenie jej zaplecza.

Biuro Polityczne stwierdziło, iż sport spełnia ważną rolę w procesie wychowania młodego pokolenia, kształtując charakter i postawy młodzieży. Dlatego też powinny być upowszechniane sylwetki sportowców, którzy godnie reprezentują naszą ojczyznę i czynnie uczestniczą w życiu społecznym kraju. W całym ruchu sportowym musi być prowadzona zdecydowana walka o czystość sportu, o bezwzględne rugowanie zeń wszelkich zjawisk negatywnych i szkodliwych, jak partykularyzm, szowinizm, dążenie do wyniku za wszelką cenę, fetyszowanie pieniądza, łamanie obowiązujących zasad i przepisów. Walka z nieprawidłowościami w sporcie powinna być prowadzona nie tylko przez organizacje i stowarzyszenia kultury fizycznej — oczekuje się wsparcia ze strony innych resortów terenowych, organów administracji państwowej, środków masowego przekazu, a także ze strony instancji partyjnych.

W lipcu ub. roku Sejm PRL przyjął ustawę o kulturze fizycznej. Dokument ten, stwarzający podstawy dalszego rozwoju tej dziedziny życia, jest szansą uporządkowania wielu spraw w sporcie.

Uznano za konieczne zapewnienie odpowiednich warunków rozwoju kultury fizycznej, a potrzeby tej dziedziny życia zostaną uwzględnione w planie perspektywicznym do 1995 r. W poszczególnych latach w budżecie państwa zapewnione zostaną odpowiednie środki finansowe, ale oczekuje się ze strony GKKFiS i organizacji kultury fizycznej działań zmierzających do stałego wzrostu dochodów własnych oraz bardziej racjonalnego i oszczędnego gospodarowania.

Odpowiednie organy administracji państwowej wspólnie z władzami terenowymi dokonają do końca br. przeglądu wykorzystania bazy sportowej i przedłożą raport w tej sprawie. Za problem szczególnie ważny uznano konieczność poprawy sytuacji w produkcji sprzętu sportowego. Szkoły i organizacje kultury fizycznej powinny być zaopatrzone w podstawowy asortyment niezbędny do realizacji programów wf i szkolenia młodzieży. Poprawie powinno ulec również zaopatrzenie rynku.

Instancje i organizacje partyjne zobowiązane zostały do szerszego i systematycznego uwzględniania problematyki kultury fizycznej w planach swoich działań politycznych i organizatorskich. Egzekutywy instancji wojewódzkich oraz instancji stopnia podstawowego dokonają do końca br. oceny stanu kultury fizycznej na swym terenie.

Biuro Polityczne uznalo za celowe, aby rząd rozpatrzył w I półroczu 1985 r. program rozwoju kultury fizycznej na najbliższe 10-letnie, opracowany przez GKkFiS. Stwierdza

się, że problematyka kultury fizycznej powinna znaleźć również swoje miejsce w pracach nad programem wyborczym przed zbliżającymi się wyborami do Sejmu PRL.

OD REDAKCJI. Skrót „postanowień” publikujemy z nadzieją, że zainteresuje on różne ogniska PZA i da im materiał do przemyśleń. Naszych szeregów nie możemy co prawda rozbudowywać, kluby i sekcje mogłyby jednak włączyć się do pracy nad poprawą poziomu kultury fizycznej w szkołach i zakładach, np. przez wspólną budowę ścian wspinaczkowych, tak efektywnie wykorzystywanych w szkołach (i klubach) innych krajów. Nie brak też wśród alpinistów sportowców wartych zaprezentowania, jako wzorce osobowe. Wielu klubom dokument powyższy da powody do satysfakcji. Postulowane w nim zwiększenie przychodów własnych jest u nas od lat praktyką (por. s. 5), a i spadku pozycji międzynarodowej nie odnotowujemy, przeciwnie — kolejne lata przynoszą jej systematyczny wzrost.

MACIEJ POPKO

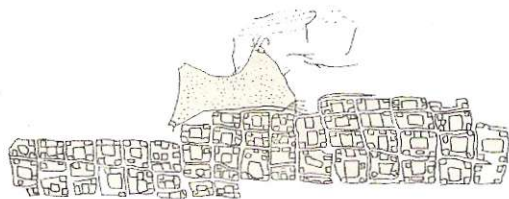
U źródeł góroznawstwa

Na podstawie dostępnych, nawet najlepszych opracowań można by sądzić, że historia alpinizmu i w ogóle zainteresowanie górami zaczyna się dopiero w czasach Greków i Rzymian. Pisano wszakże o górach już znacznie wcześniej. Liczne wzmianki na ten temat znajdujemy w piśmiennictwie klinowym Wschodu Starożytnego.

W Mezopotamii, kolebce pisma klinowego, wspomina się o górach rzadko, bowiem były one dla mieszkańców tej równinnej krainy tylko synonimem obcych krajów i dopiero w związku z podbojami, zwłaszcza królów asyryjskich w XIII i VIII wieku p. n.e., pojawiają się wiadomości o przeprawie wojsk przez górskie przełęcze. Inaczej było w górzystej zachodniej Syrii i Azji Mniejszej (na Półwyspie Anatolijskim). Ludność tych ziem żyła wśród gór, przeto musiały one wywierać wpływ na świadomość

społeczną. W dokumentach przetrwały liczne dawne nazwy gór, niektórych z nich, nieco zmienionych, używa się po dziś dzień. Zachowały się też opisy gór. Oto fragment roczników króla hetyckiego Mursilisa II (XIV wiek p.n.e.), dotyczący wyprawy wojennej nad Morze Egejskie: „... poszedłem ku górze Arinnanda. Owa Arinnanda jest bardzo potężna, wybiega na morze, ponadto jest bardzo wysoka i niedostępna, i jeszcze skalista: nie można wjechać na nią konno... Ja, Słońce, poszedłem pieszo na czele mojego wojska i wszedłem na górę Arinnanda.” Jest to najstarszy znany opis góry i wejścia na nią; dodajmy, że opis schematyczny, bowiem podobnie opowiada się w tychże rocznikach i później o zdobyciu innych gór. Celem tych ataków było jednak nie tyle zdobycie szczytu, co pojmanie miejscowej ludności, która ukrywała się przez Hetytami w trudno dostępnej okolicy.

Z czasem schemat opisu gór znacznie się udoskonalił, czego wyrazem jest fragment opisu wyprawy króla asyryjskiego Sargona II przeciw Urart (714 r. p.n.e.): „... obrałem drogę do Musasir, drogę trudną. Kazałem moim żołnierzom wspiąć się na Arsium, potężną górę, której urwiskami nie wiedzie żadna ścieżka. (Potem) przekroczyłem Górny Zab... (Znalazłem się) pomiędzy wyniosłymi pasmami Szeiak, Ardiksi, Ulaiaiu, Alluriu, wśród niebotycznych grani, niedostępnych turni, gdzie nie ma drogi dla pieszych, gdzie rodzą się potężne wodospady, których huk podobny do grzmotu odbija się od sto-



Ścienne malowidło neolityczne z okolic Konya (z Catalhöyük), przedstawiające wulkan w stanie erupcji, przypuszczalnie Hasen Dagh. Na pierwszym planie osiedle.

ków i (niesie) daleko; które są pokryte wszelakimi drzewami leśnymi i owocowymi... Scinałem ich pnie, pikami obalałem spiętrzenia głazów(?). Wąską dróżkę, chodnik czy ścieżkę, którą piesi przesuwały się bokiem, kazałem przygotować tak, aby moje wojsko mogło przejść. Mój rydwan kazałem przenieść na plecach..."

Ale dopiero teksty religijne pozwalają nam dokładniej poznać wyobrażenia starożytnych o górach. Najwięcej wiadomości na ten temat dostarcza piśmiennictwo hetyckie (XV—XIII wiek p.n.e.). Góry uważano za teren wolny od nieczystości magicznej, święty w ówczesnym rozumieniu tego słowa, dlatego też odprawiano w nich chętnie obrzędy oczyszczenia. Szczyty górskie były traktowane jako bóstwa podobne swą istotą i funkcją do bogów burzy i nieraz z nimi utożsamiane. Przetrwały liczne wyobrażenia bogów-gór na reliefach skalnych, płaskorzeźbach, odciskach pieczęci itp. Przedstawiano ich jako brodatych mężczyzn w spiczastych czapkach i długich płukniach, pokrytych jakby łuskami czy płytkami, które miały symbolizować nieprzebyte gąszcz czy też skalne rumowisko. Zachowały się też opisy takich wyobrażeń oraz przedmiotów, które symbolizowały ubóstwiane góry. Czczono je w świątyniach lub w kręgach kultowych; te

ostatnie znajdowały się nieraz na stokach gór, stanowiły rodzaj ogrodzonego i strzeżonego parku, w którym pasło się stado poświęconych bogu jeleni. Urządzano w nich uroczystości świąteczne.

Uosobione góry występują biernie lub jako osoby działające w mitach małoazjatyckich i syryjskich. Zachowały się opowieści w języku hetyckim i ugaryckim o górze Hazzi (na północ od Latakii, semicki Sapon, klasyczny Cassius, dziś el-Akra), która miała takie znaczenie, jak Olimp w mitologii greckiej. Pewien mit opowiada o tym, jak szczyt Pisaisa uwiódł uśpioną Szauszkę (hurycki odpowiednik babilońskiej Ishtar) i co z tego wynikło. Wreszcie historia o zionącej ogniem górze Wasitta miała zapewne wyjaśniać tajemnicze zjawiska wulkaniczne. W związku z tą ostatnią opowieścią warto wspomnieć, wychodząc poza źródła pisane, że w Azji Mniejszej, a dokładniej w Catalhöyük koło miasta Konya, odkryto najstarsze w świecie (z 7—6 tysiąclecia p.n.e.) wyobrażenie czynnego wulkanu.

Bogato udokumentowane zainteresowanie górami można przeto odnieść do epoki znacznie wcześniejszej, niż się powszechnie przyjmuje. Fakt ten ma znaczenie nie tylko dla historyków poznania gór.



ANDRZEJ PACZKOWSKI

Alpinizm polski anno Domini 1984

nieczności skrótowno, przedstawić garść informacji o naszym środowisku w r. 1984 — pomijając sprawy alpinizmu jaskiniowego. Liczę na to, że zachęca one innych do podjęcia się trudu przygotowania gruntowniejszej oceny.

Od paru już lat stale zadawane jest pytanie: skąd się bierze polski „fenomen alpinistyczny”? Jakie są źródła naszej tak wybitnej pozycji na światowym forum? Pytają o to dziennikarze krajowi i zagraniczni, wspinacze różnych nacji, działacze organizacji wysokogórskich. Nie potrafiłem nigdy udzielić na nie rzeczowej odpowiedzi, a więc i same pytania zaczęły mi się wydawać bez sensu. Z pewnością niesłusznie, powinniśmy przecież starać się dociec, dlaczego „jest tak, jak jest”, i to nie dla próżnej ciekawości, lecz przede wszystkim po to, aby — zależnie od analiz i wniosków — dążyć do zmian bądź też starać się zachować status quo, jeśli uznany by został za korzystny.

Poniższe moje uwagi nie mają tak wygórowanych ambicji. Chciałbym tylko, na tyle rzeczowo, na ile jest to możliwe, ale z ko-

1. Do 32 klubów „powierzchniowych”, zrzeszonych w PZA, zapisanych było w r. 1984 ok. 4800 osób, przy czym pewien procent miał członkostwo podwójne lub nawet potrójne. Wedle szacunków dokonanych przez zarządy, alpinizm czynnie uprawiało ok. 2000—2100 osób. a.e z tatrzańskich „ksiązek wyjść” wynika, iż większość wspinających się przechodziła nie więcej, niż 2—3 drogi w ciągu roku. Tak więc polskie środowisko alpinistyczne jest wciąż stosunkowo nieliczne, a spora jego część podtrzymuje swoje z nim związki na zasadzie bezwładności lub ogólnego sentymentu do gór. Na podstawie tychże „ksiązek wyjść” stwierdzić można, że duża część wspinających się chodzi tylko na drogi stosunkowo łatwe (do „czwórek”) i krótkie, czyli że utrzymuje się tradycyjna tendencja do traktowania alpinizmu nie tylko jako sportu wyczynowego, ale także pola rekreacji. Ten sam model obejmuje także pewną (niewielką) liczbę uczestników wyjazdów w



Polska droga na Manaslu z lodowca Pungen. Oznaczono obóz II (6750 m) i biwak (7350 m).

Fot. John Cleare

Alpy i — w bardziej już znaczącym odsetku — członków wypraw w góry egzotyczne.

Alpinizm ma w Polsce dość dużą siłę przyciągającą — świadczy o tym np. fakt, iż w kursach teoretycznych w roku ubiegłym udział wzięło blisko 900 osób. Na kursy skałkowe trafiło już tylko około połowy spośród nich, zaś w różnych formach wstępnego szkolenia tatrzańskiego — decydującego o „wejściu” do środowiska — uczestniczyło zaledwie 200 osób. Sądzić zatem można, iż gros zgłaszających się do szkolenia, to osoby chcące raczej zapoznać się z alpinizmem lub powierzchniowo go spróbować, a nie wiązać się z nim na stałe. Ponadto: nie wszyscy, którzy przeszli szkolenie tatrzańskie, pozostają taternikami. Wedle szacunków opartych na wpisach do „książek wyjść”, spośród ok. 150 absolwentów szkolenia w r. 1983 tylko nieco więcej niż połowa pojawiła się w Tatrach w sezonie następnym. Zjawisko to ma, jak się wydaje, charakter trwały i w jego wyniku liczba osób wspinających się wzrasta w sposób bardzo umiarkowany (po kilka procent rocznie), natomiast coraz liczniejsza jest kategoria tych, którzy o alpinizmie wiedzą więcej, niż można się dowiedzieć z gazet czy telewizji.

2. Zwykło się sądzić, iż nasze środowisko cechuje się nadzwyczajną ekspansywnością w działalności poza Tatrami. Brak możliwości porównań czyni to przekonanie praktycznie nieudowodnialnym. Warto jednak wiedzieć, że w 1984 r. w 27 wyprawach (tych, które formalności załatwiali poprzez biuro PZA) wzięło udział ok. 200 osób, a więc co dziesiąta osoba „czynna” i mniej więcej co dwudziesta zrzeszona. Podobnie było z uczestnictwem w wyjazdach typu alpejskiego (Alpy, Kaukaz), łącznie więc przeszło 400 osób wspinano się w sposób zorganizowany poza Tatrami. Dużo to czy mało? Biorąc pod uwagę rozliczne trudności, związane z wyjazdami za granicę, a także ich bardzo wysokie koszty, można sądzić, że zaangażowanie środowiska w organizowanie wspinaczek pozata-

trzańskich jest istotnie znaczne. Wielkości te są też z pewnością znaczące jako liczby względne. Gdyby 10% członków np. Deutscher Alpenverein wyjechało w Himalaje i Karakorum, mieliibyśmy tam przeszło 30 000 Niemców. Jako wielkości bezwzględne są one jednak nieznaczne. Na ścieżkach i ścianach himalajskich czy andyjskich — nie mówiąc o Alpach! — jest Polaków niewiele, znacznie mniej niż Japończyków, Brytyjczyków czy Francuzów. Tak więc nasza pozycja w r. 1984 — a jest ona podobnie wysoka, jak w kilku latach poprzednich — nie da się wytłumaczyć działaniem dużej liczby. Może więc lepsze przygotowanie? Silniejsza motywacja? Czynniki „wypychających” polskich wspinaczy poza Tatry jest więcej i na to, by je wskazać i zanalizować trzeba by poważnej dysertacji z pogranicza psycho-, socjo- i politologii (a także ekonomiki handlu zagranicznego).

3. Kiedy jednak wnikniemy bliżej w wyniki sportowe osiągane na wyprawach i zgrupowaniach alpejskich, obraz rysujący się na podstawie sukcesów osiąganych na szczytach najtrudniejszych przestaje być klarowny. Komisja Sportowa stwierdziła w swej rocznej ocenie, że „światowej klasy sukcesom nie towarzyszyła odpowiednia liczba udanych wypraw mających cele klasy średniej”, w Alpach zaś aktywność polska „charakteryzowała się wynikami odbiegającymi dość wyraźnie od europejskiej czołówki”. Jeśli dodać do tego spostrzeżenia Komisji Tatrzańskiej, która stwierdza zmniejszanie się liczby wspinaczek odbytych na drogach o wysokim stopniu trudności, a przede wszystkim przejść zimowych, pesymista mógłby uznać ten stan za charakterystyczny dla „kolośa na glinianych nogach”. Jeśli nawet ocenę taką uznać za zbyt pochopną, to jednak niepokojąca być musi zarówno wąskość bezpośredniego zaplecza czołówki, jak i relatywnie słabsze wyniki osiągane przez to zaplecze. Niepokój ten pogłębia się, gdy wziąć pod uwagę oceny Komisji Szkolenia. Konstatuje ona niski poziom pracy szkoleniowej w wielu klubach, co wyraża się tendencją do mechanicznego „zaliczania” obowiązującej liczby godzin przy niskiej intensywności wykorzystania czasu przeznaczzonego na szkolenie, stosowaniem przestarzałej dydaktyki, lekceważeniem przedmiotów teoretycznych. Jest to rezultatem m. in. braku zaangażowania ze strony klubów. W r. 1984 jedna czwarta klubów nie organizowała szkolenia w ogóle, połowa nie prowadziła żadnego szkolenia w Tatrach, zaś jedna czwarta nie organizowała tam żadnej zbiorowej działalności. Wydaje się także, iż w niektórych klubach kursy dla początkujących mają bardziej charakter publicznych odczytów o górach i zbiorowych wyjazdów na zieloną trawkę, niż regularnego nauczania podstaw alpinizmu. Jakże bowiem inaczej wyjaśnić fakt, że klub liczący 44 członków przyjmuje na kurs wstępny 54 osoby, inny zaś, mając 189 członków, angażuje się w szkolenie 120 chętnych? Według

ocen Komisji Bezpieczeństwa, większość wypadków (zwłaszcza zimowych) miała za przyczynę rażące braki szkoleniowe, a właściwie zaniechanie regularnego szkolenia zimowego. Alarmy w tej sprawie, wiele razy już podnoszone, nie mają, jak dotąd, odbicia w wyraźniejszych zmianach.

Jak to się więc dzieje: skoro tak źle (czy raczej tak „średnio”) jest w Tatrach i Alpach, dlaczego tak dobrze jest na szczytach ośmiotysięcznych? Proponuję trzy hipotezy do „prywatnego” rozważenia: a) obraz jest przeczerpniony; b) nie istnieje wyraźne iunctim między kursantem w skałkach a Krzysiem Wielickim na Broad Peak; c) wytwarza się luka pokoleniowa, której skutki odczuwamy dopiero za kilka lat.

4. Jakkolwiek często, i na ogół słusznie, krytykowane jest nikłe zainteresowanie klubów działalnością tatrzańską, informacje za rok ubiegły nie są pesymistyczne. Nie licząc indywidualnych wyjazdów wspieranych finansowo przez kluby, w 92 imprezach — lepiej czy gorzej zorganizowanych — uczestniczyło przeszło 1100 osób (łącznie Tatry Polskie i Słowackie). Przykrym, choć od środowiska niezależnym mankamentem są trudności zarówno formalne, jak i finansowe z wyjazdami na Słowację. Wyraźniej natomiast zmianie na lepsze uległa sytuacja po stronie polskiej. Skromna kadrowo Komisja Tatrzańska PZA włożyła ogrom pracy w poprawę standardu górskich pobytów. Obozowiska są poddawane stałym renowacjom, wyposażone zostały w paliwo, środki czystości itp. Na Rábaniskach zainstalowano wodociąg polowy. Wygodniej jest także w „Betlejemce”, która staje się powoli prawdziwą taternicką chatą. W bazie tatrzańskiej PZA jest obecnie ok. 200 miejsc, ale stopień jej wykorzystania nie przekracza 50%. Nasze stosunki z TPN stały się naprawdę „partnerskimi”. Nie znaczy to oczywiście, że nie ma zgrzytów i nieporozumień, ich wymiary są jednak znacznie mniejsze, niż przez wiele poprzednich lat. Trzeba podkreślić, że zmiany, jakie zaszły w bazie pobytowej Związku, nie byłyby możliwe bez wydatnej pomocy klubów. A przecież niektóre kluby inwestowały też równolegle we własne niebłahe przedsięwzięcia, czego przykładem nowa siedziba KW Trójmiasto w pięknie odrestaurowanej gotyckiej baszcie.

5. Stwierdzenie to jest właściwym, jak sądzę, punktem wyjścia do przedstawienia w kilku zdaniach sytuacji finansowej środowiska. Nie porzucając moich dawniej wyrażanych wątpliwości, co do ubocznych skutków działalności gospodarczej klubów, chciałbym tym razem wskazać na jej zasadniczą rolę w ekspansji polskiego alpinizmu. Nie wiem, jak to wygląda w innych dyscyplinach sportu, ale nasze środowisko jest właściwie pod względem finansowym całkowicie samowystarczalne: w budżetach klubów dotacje stanowią średnio zaledwie 4,4% dochodów, a nawet

sam PZA z centralnej dotacji pokrywa mniej niż 40% swoich wydatków. Wprawdzie z ogólnej kwoty 375 000 000 zł dochodów klubów ok. 200 000 000 wyniosły koszty „pozyskania”, niemniej jednak do dyspozycji klubów pozostała niemała suma, z której pewna część — jak dotąd mniejsza niż potrzeby i chyba mniejsza niż możliwości — przekazywana jest przez część klubów na cele ogólnosirowiskowe. Przewoduje pod tym względem (jak i pod różnymi innymi) KW Trójmiasto.

Istnieją, rzecz jasna, ogromne, dysproporcje. Są kluby, które „żyją” tylko z b. skromnych dotacji, są też takie, które pod względem wielkości obrotów przypominają średniej wielkości przedsiębiorstwa (jeden z klubów osiągnął 180 000 000 obrotów, dwa inne — po przeszło 60 000 000). Tak więc, choć organizatorzy wypraw nieraz gorączkowo szukają sponsorów lub wsparcia, pod względem zaplecza złotówkowego sytuacja jest niezła. Dramat zaczyna się tam, gdzie w grę wchodzi dewiza, i to z obu obszarów płatniczych. Tzw. limit dolarowy, przyznawany Związkowi na potrzeby całego środowiska (już w r. 1983 „obcięty” do 50%) wobec bieżącej dewaluacji złotówki skurczył się do ok. 10 000 dolarów, czyli do 1/3 poziomu sprzed lat trzech,

Polska droga centralnym filarem południowej ściany Yalung Kang (8505 m) — jedno z czołowych osiągnięć roku 1984 w Himalajach.

Fot. Leszek Cichy



i to przy poważnym wzroście wszystkich kosztów. Wyprawa zimowa na Cho Oyu, zakończona tak wspaniałym sukcesem, była już drugą z kolei wyprawą narodową (po kobiecej na K2 w r. 1982), która wszystkie wydatki dewizowe pokryła spoza przydziałów NBP. Od dwóch lat PZA nie otrzymuje żadnych dewiz na zakup sprzętu i sytuacja pod tym względem jest naprawdę alarmująca.

6. Sprawy wyposażenia w sprzęt są wciąż wielkim mankamentem. Wydaje mi się, iż nasze działania w tym zakresie są niewystarczająco usilne i konsekwentne. Jedynym nowum było uruchomienie produkcji karabinków, ale już w dwóch innych sprawach, również ważnych — lin i kasków — trwa zastój. Podobnie jest z odbiciem naszych osiągnięć w środkach masowego przekazu. Po „wielkim boomie” w końcu lat siedemdziesiątych, kiedy to w polskich mass-mediach alpinizm był tematem popularnym i częstym, rok ubiegły, podobnie jak i kilka poprzednich, utrzymywał nas de facto w strefie informacyjnej ciszy. Przyczyn tego stanu rzeczy nie znam, w każdym bądź razie nie wynikał on z mierności wyników sportowych, bo przecież pod

LESZEK ZABDYR
Komisja Szkolenia PZA

Zmienić regulamin stopni... i co dalej?

Podczas obrad ostatniego Walnego Zjazdu PZA znaczna część dyskusji poświęcona była regulaminowi stopni alpinistycznych. Zaczął ją raport Zbigniewa Skoczylasa, dotyczący przestrzegania (a raczej nieprzestrzegania) norm zawartych w tym dokumencie — na przykładzie ostatniego letniego sezonu tatrzańskiego. Z raportu wynikało, że większość wspinających się w Tatrach, szczególnie młodszego pokolenia, nie zna bądź nie przyjmuje do wiadomości uprawnień i ograniczeń wynikających z posiadanego stopnia taternickiego. Dlaczego tak się dzieje?

Począwszy od lepiej lub gorzej zorganizowanego kursu skałkowego, poprzez różne formy szkolenia tatrzańskiego, młodzi ludzie zyskują upragnione górskie „prawo jazdy”, zezwalające na samodzielną działalność w granicach norm wyznaczonych przez wspomniany regulamin. Na przestrzeni kilkunastu ostatnich lat nastąpił wzrost poziomu techniki wspinania w skałę, spowodowany m. in. coraz powszechniejszym stosowaniem treningu. Sprawia to, że kandydaci do letniego szkolenia tatrzańskiego mają na ogół lepiej rozwinięte cechy motoryczne, pozwalające na pokonywanie wyższych trudności w skałę, niż np. 10 lat temu. (Stwierdzenie to opieram na podstawie obserwacji szkolenia w Centralnej Szkole Taternictwa KW a później COS PZA

tym względem rok 1984 był jednym z najlepszych. Był to także rok dość wyraźnego dołka wydawniczego, w tym przypadku winna jest jednak chyba ogólnokryzysowa sytuacja polskiego edytorstwa. Bolesnym faktem jest utrwalenie się sytuacji „Taternika” z jego obniżoną częstotliwością i objętością. Powstała luka informacyjno-dokumentacyjną w pewnym tylko stopniu zapelnili mogą wydawnictwa lokalne („Taterniczek”, „Bularz”, „Wspinek”), choć bez wątpienia są one świadectwem aktywności intelektualnej (i organizacyjnej) środowiska. Natomiast od paru już lat alpinizm polski zajmuje poczesne miejsce w światowych periodykach fachowych, takich jak „Mountain”, „Iwa to Yuki”, „Himavanta”, „AlpiRando”, „Der Bergsteiger”, „American Alpine Journal” i inne, których numery są nierzadko zdominowane przez informację polską.

Taki oto rysuje mi się obraz polskiego alpinizmu roku 1984. Powstał on trochę na zasadzie „tu koń, tam drzewo”, podczas gdy w rzeczywistości istnieją liczne zażębenia i powiązania jednych zjawisk z innymi. Czytelników zachęcam więc do refleksji nad nimi, i to także w formie pisanej.



w okresie 14 lat, tj. od początku istnienia tej placówki). To, plus niewielkie w gruncie rzeczy obycie z górami, uzyskane na kursie tatrzańskim pod okiem instruktora (nie zawsze), wyrabia w młodym człowieku zaufanie do własnych możliwości, w żadnej mierze nie proporcjonalne do zebranego doświadczenia górskiego. Rezultaty można nierzadko znaleźć w raportach Komisji Tatrzańskiej lub Komisji Bezpieczeństwa oraz GOPR. Problem bezpieczeństwa w takim schemacie kariery tatrzańskiej jest tematem do osobnej analizy, niemniej jednak nie trzeba chyba specjalnie zaznaczać, że dalszy tok moich rozważań będzie temu aspektowi podporządkowany.

Wróćmy jednak do zjazdowej dyskusji. Ani na sali obrad, ani w kuluarach nie podjęto próby głębszego zanalizowania przyczyn istniejącego stanu rzeczy, ograniczając się jedynie do stwierdzenia, iż „życie poszło naprzód, regulamin się zestarzał, a przy istniejącym status quo nic zdroźnego się nie dzieje, zmieńmy więc regulamin”. Padały propozycje zwiększenia, to znowu zmniejszenia

liczby stopni, proponowano zniesienie stopni w ogóle, a większość wypowiedziących się skłaniała się do znacznego rozszerzenia uprawnień wspinaczkowych dla dwóch pierwszych stopni. Z gąszczu wypowiedzi został wyłoniony wniosek zalecający nowemu Zarządowi powołanie zespołu ekspertów w celu zmiany i uproszczenia regulaminu stopni. Zarząd powołał więc zespół w składzie Andrzej Ciszewski, Janusz Kurczab, Andrzej Marczak, Jan Orłowski, Waclaw Sonelski, Marek Szygowski i Jan Wolf, który pod kierownictwem Tadeusza Solickiego miał w terminie 3 miesiące wywiązać się z postawionego zadania. Mniej więcej w wyznaczonym terminie powstał dokument utrzymujący trzystopniowy system stopni: kandydat — samodzielny — zwyczajny, już jednak bez pośredniej klauzuli „z uprawnieniami zimowymi”. Rozszerzono znacznie uprawnienia wspinaczkowe dla dwóch pierwszych stopni, zwiększając jednocześnie wymagania niezbędne do ich uzyskania.

Nie miejsce tu na szczegółowe omówienie nowego regulaminu — do oceny jego funkcjonalności potrzeba będzie pewnego dystansu. Można natomiast zastanowić się, do czego jest on nam właściwie potrzebny? Konfrontując zestawienia Komisji Tatrzańskiej z wykazem wejść, wymaganych do uzyskania stopnia kandydata, można odnieść wrażenie, że regulamin stopni stanowi zbiór nakazów i zakazów, złośliwie wymyślonych w celu skrepowania inwencji i rozmachu młodych wspinaczy. Dlatego też chciałbym, aby moje argumenty trafiły przede wszystkim (choć nie tylko) do tej właśnie części naszego środowiska.

Otóż istnieją dwa powody, dla których regulamin stopni alpinistycznych jest nam nieodzowny.

Po pierwsze, stanowi on de facto zbiór przepisów bezpieczeństwa, konieczny przy uprawianiu sportu niosącego wysokie zagrożenie zdrowia i życia. Istnienie takich przepisów jest, poza wszystkim innym, wymogiem koniecznym dla związku sportowego, zlokalizowanego w strukturze Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu. Z tego punktu widzenia regulamin jest rzeczywiście zbiorem nakazów i zakazów, ale nie tylko. Przepisy bezpieczeństwa powinny bowiem dać również odpowiedź na pytanie, jak do tego dojść, aby alpinizm można było uprawiać bezpiecznie. Tę odpowiedź dają w regulaminie odnośniki do poszczególnych przepisów szkoleniowych.

Po drugie, regulamin umożliwia w miarę precyzyjną ilościową ocenę stopnia wyszkolenia i kwalifikacji taternika, co jest tak ważne i przydatne w naszym trudno wymiernym sporcie. Przy kwalifikowaniu na różnego typu obozy i zgrupowania, przy typowaniu kierowników imprez czy też przyjmowaniu na poszczególne etapy szkolenia, warunek posiadania odpowiedniego stopnia zastępuje (choć nie w pełni) konieczność żmudnego analizowania przebiegu kariery taternickiej danej osoby. Odwróćmy sytuację: ileż pracy i zachodu wymagałoby np. wytypowanie kandydatów do szkolenia zimowego spośród grupy osób, z których każda w inny sposób nabywała doświadczenie taternickie, trudne do zmierzenia „wspólną miarką”. Trzeba by tu i tak stworzyć ad hoc pewne normy i przyrzucać do nich kolejno wszystkie osoby. Sprawę rozwiązuje system stopni, oczywiście pod warunkiem rzetelnego i w miarę równomiernego stosowania go w całym środowisku.

W powyższych uzasadnieniach przewija się jako motyw przewodni ściśle powiązanie hierarchii stopni z systemem szkolenia. Uzasadnienie to determinuje konieczność gruntownych zmian, przede wszystkim ilościowych, tego systemu. Temu zagadnieniu jest obecnie w głównej mierze podporządkowana działalność Komisji Szkolenia PZA. Założenia nowego systemu zostały już opracowane i są wprowadzane w życie począwszy od wiosny 1985 r.

Całość systemu została podzielona na dwa szczeble: szkolenie podstawowe oraz szkolenie instruktorskie. Pierwsze jest realizowane w trzech kolejno po sobie następujących etapach:

- kurs wstępny (teoretyczny i skałkowy)
- kurs I stopnia (letni tatrzański)
- kurs II stopnia (szkolenie zimowe).

Na cykl kształceniowy kadry instruktorskiej składają się dwa etapy: kurs instruktorski I stopnia (młodszy instruktor) i kurs instruktorski II stopnia (instruktor) — okresowo (co 3 lata) uzupełniane kursami unifikacyjnymi, mającymi na celu uaktualnienie kwalifikacji kadry szkoleniowej Związku.

Już na pierwszy rzut oka widać, że w samej strukturze nie nowego nie wymyślono, chociaż model szkolenia został uproszczony, uporządkowany i, co najważniejsze, skorelowany (nareszcie) z systemem stopni. Generalnym zmianom uległa natomiast strona programowa, mająca w swej intencji zapewnić poziom wyszkolenia odpowiadający wymogom koniecznym do uzyskania poszczególnych stopni taternickich.

Przejdźmy teraz do najważniejszych szczegółów. Warunkiem uzyskania pierwszego stopnia (kandydata) jest przede wszystkim ukończenie szkolenia pierwszego stopnia, poprzedzonego szkoleniem wstępnym. Uzyskany stopień daje uprawnienia do letnich wspinaczek w Tatrach bez ograniczeń, z zastrzeżeniem: „stosownie do własnych możliwości”. Oznacza to, że dwa pierwsze etapy szkolenia podstawowego mają przygotować taternika o takich właśnie uprawnieniach i... kwalifikacjach. I „tutaj zaczyna się Mały Młynarz” (cytat z „Taternika” sprzed kilkunastu lat, będący wówczas synonimem nadchodzących trudności). Jakże w ciągu kilku miesięcy, góra — pół roku, nauczyć tego wszystkiego ludzi, którzy w kwieciu posiadli w skałkach umiejętność wiania się liną, a w sierpniu lub wrześniu mogą już, z „kartą taternika” w kieszeni, zmierzać szparko pod Kazalnicę?

Otóż, po pierwsze, regulamin nikomu nie nakazuje ani nawet nie zaleca takiego schematu pierwszego sezonu wspinaczkowego, a zastrzeżenie „stosownie do własnych możliwości” odwołuje się do rozsądku i właściwej oceny własnych kwalifikacji przez młodego wspinacza. Tego rozsądku należy użyć od pierwszego wykładu na kursie teoretycznym, aż do ostatniego dnia zajęć na kursie tatrzańskim.

Po drugie, znane są wcale nieodosobnione przypadki przechodzenia przez świeżo upieczonych kan-

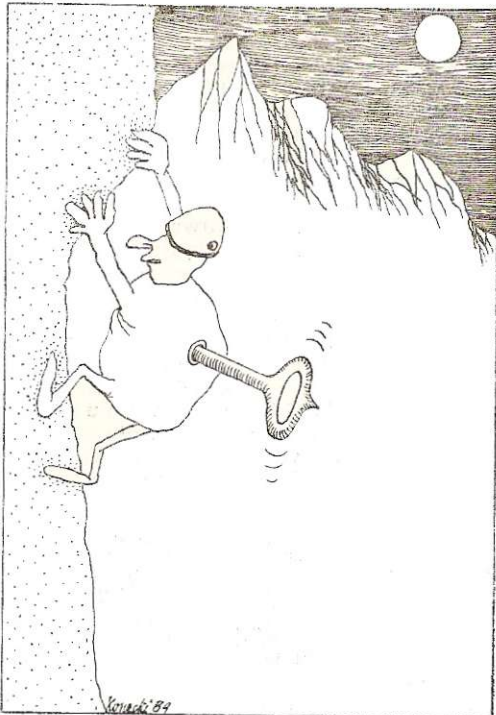
dydatów trudnych dróg tatrzańskich w lecie w nie-najgorszym stylu, co wiąże się ze wspomnianym już podniesieniem się poziomu wspinaczki skałnej.

Po trzecie, taka była „wola ludu”, taki był przecież generalny trend dyskusji zjazdowej, choć szkoda, że nie było głosów na temat sposobów realizacji zreformowanych założeń.

Z przedstawionego schematu widać, jak wielką rolę w procesie szkolenia odgrywają dwa pierwsze etapy: kurs skałkowy i letni kurs tatrzański. W skałkach, gdzie szkoleni po raz pierwszy stykają się z całą gamą nowych dla siebie problemów, których bezbłędne opanowanie ma w przyszłości stanowić o bezpieczeństwie ich wspinaczek, szkolenie musi być prowadzone szczególnie rzetelnie i dokładnie. Jest oczywiste, że winni je realizować ludzie, którzy nie tylko posiadli zasób koniecznych wiadomości i umiejętności, ale którzy także potrafili swą wiedzę efektywnie przekazać. Do tego celu potrzebna jest doświadczona kadra instruktorska o najwyższych kwalifikacjach. Niestety, praktyka odbiega w tym względzie daleko od pobożnych życzeń teorii.

Utarł się (skąd?) w naszym środowisku pogląd, że na kursie skałkowym może szkolić każdy, kto się dobrze wspina. To, czy szkolący potrafił swe umiejętności skutecznie przekazać, wydaje się nie mieć znaczenia. Nierzadko można obserwować sceny, gdy związany nonszalancko liną w pasie „bularz” daje popis swego kunsztu osłupiałej z wrażenia grupce kursantów, pomykając swobodnie

Rys. Marek Konecki



po wybranym fragmencie skały — możliwie najtrudniejszym, gdyż wtedy efekt jest najlepszy. Cały wysiłek pedagogiczny ogranicza się do komendy: „To samo z muzyką ćwiczy!”

Wyniki tego typu „szkolenia” są takie, że część osób zniechęca się już na wstępie, a ci o mocniejszej „psyche” zaczynają podawać w wątpliwość prawo powszechnego ciągnięcia. Można, oczywiście, i tym sposobem znaleźć materiał na przyszłego „bularka”, na ogół jednak metoda ta nie ma nic wspólnego z racjonalnym szkoleniem. Błędne nawyki i odruchy, przyswojone w pierwszej fazie obcowania ze skałą, są później bardzo trudne do usunięcia, nie mówiąc już o poważniejszych konsekwencjach takiej edukacji.

Nowy program kursu wstępnego, poza rozszerzeniem zakresów poszczególnych bloków tematycznych, kładzie główny nacisk na stopniowe, utrwalane przez wielokrotne powtarzanie, przyswajanie pojęć i nawyków podnoszących bezpieczeństwo wspinaczki. W założeniu jest on ukierunkowany na przekazanie niezbędnego minimum wiedzy inicyjacyjnej, potrzebnej w następnym etapie szkolenia — na kursie I stopnia. Program tego drugiego, również znacznie rozbudowany, szczególnie w części praktycznej, ma zapewnić szkolonym maksimum obycia z górami, akcentując wyrabianie takich cech, jak umiejętność orientacji w terenie w różnych warunkach atmosferycznych, samodzielność podejmowania decyzji czy wreszcie właściwa ocena możliwości zespołu wspinaczkowego. Zrezygnowano ze sztywnych limitów godzinowych, które w praktyce przyniosły więcej szkód niż pożytku; sugeruje się wręcz ograniczenie dziennego kwantum wspinaczki do 2—4 godzin przewodnikowych, celem stopniowego przekazywania inicjatywy w ręce szkolonych. Przyjęto jako zasadę, aby na daną drogę w danym dniu nie wybierały się dwa zespoły. Zobowiązuje się instruktorów do odbycia co najmniej jednej wspinaczki w rejonie innym, niż miejsce pobytu kursu, zorganizowania wycofania się z drogi uprzednio już poznanej, a także przebycia drogi z fragmentem pokonywanym techniką sztucznych ułatwień.

Realizacja tak rozbudowanych programów będzie wymagała większego niż dotychczas zaangażowania i wysiłku ze strony instruktorów, głównym zaś zadaniem kierownika kursu będzie dobór odpowiedzialnej i kompetentnej kadry instruktorskiej i egzekwowanie od niej rzetelnego wcielania programu w życie, szczególnie w pierwszych fazach szkolenia.

Trzeci etap edukacji taternickiej — szkolenie zimowe — będzie tematem oddzielnego opracowania.

Post scriptum. Ramowe programy wszystkich etapów szkolenia taternickiego, jak również teksty części porządkowej przepisów szkoleniowych (regulaminów), zostaną udostępnione wszystkim klubom, a niezależnie od tego — ogłoszone w wydawnictwie Komisji Szkolenia PZA.

O linach nigdy za wiele

Przekonanie o szczególnej wartości własnego życia skłania nas, na ogół skutecznie, do używania lin wspinaczkowych. Kilkanaście lat temu, gdy zabrakło dziewiczych szczytów i ścian, a nawet ich fragmentów, wymyślono nową konkurencję: „solo rope free” czyli alpinizm bez liny. Co radykalniejsi „reformatorzy” sportu wróżyli jej wielką przyszłość, na szczęście jakoś nie widać, by liny wychodziły z użycia. Skoro więc nie zanosi się w najbliższym czasie na rozbrat z asekuracją, proponuję krótką powtórkę, której tematem będzie Jej Długość Lina Wspinaczkowa. „Zawodowców” z góry przepraszam za to, że w moich wywodach nie znajduję zbyt wiele nowego, nie oni jednak są adresatami tego artykułu.

Pojedyncza, podwójna, bliźniacza

Mówiąc o linach, zawsze będziemy mieli na myśli liny warstwowe, tzn. konstrukcji koszulkowo-rzędniowej, plecione i wykonane z włókien poliamidowych, znanych pod nazwami handlowymi nylon, stilon, dederon, kapron czy perlon, zależnie od kraju, w którym je wyprodukowano. By uniknąć nieporozumień, wario przyzwyczaić się do jednolitych a przez to i jednoznacznych określeń:

Lina pojedyncza (a nie „asekuracja”, bo to oznacza czynność) gwarantuje bezpieczeństwo używana pojedynczo, jej średnica wynosi 10–12 mm, długość — 30–50 m.

Lina podwójna (a nie „podciąg”, bo to też oznacza czynność) zapewnia bezpieczeństwo tylko wtedy, kiedy używa się jej podwójnie. Średnica 8,5–10 mm, długość całkowita 30–90 m.

Lina pomocnicza (popularna „zjazdówka”) przeznaczona jest do maipowania, transportu sprzętu, poręczowania, zjazdu itp., także na pętle. Ze względu na niską zdolność absorbowania energii upadku, w żadnym razie nie nadaje się do asekuracji. Nie należy się sugerować jej, znaczącą częścią, wytrzymałością statyczną. Stosowane średnice: 3–8 mm, długości bez ograniczenia.

Lina bliźniacza jest szczególnym typem liny podwójnej, aktualnie bardzo reklamowanym i coraz popularniejszym, zwłaszcza na Zachodzie. Od zwykłej liny podwójnej różni się tylko tym, że obie żyły są oddzielnymi odcinkami. Lina taka łączy w sobie przymioty obu dotąd rozpowszechnionych rodzajów, tzn. liny pojedynczej i podwójnej. Jej dodatkowe zalety, to możliwość rozdzielania odcinków na czas transportu oraz możliwość stosowania tylko 1 żyły w skałkach lub na lodowcu. Należy jednak podkreślić, iż używanie odcinka pojedynczo (tak bywa czasem na stokach lodowych lub w łatwiejszym terenie skalnym) jest niebezpieczne i należy go raczej unikać.

Lina statyczna, zwana także „speleo”, jest przeznaczona do zjazdu oraz wspinaczki przy użyciu przyrządów samozaciskowych, cechuje się wysoką wytrzymałością i minimalnym wydłużeniem użytkowym (b. niska rozciągliwością). Podobnie jak lina pomocnicza (i z tych samych powodów) nie nadaje się do asekuracji.

Nabywając nową liny stajemy przed poważnym problemem: co wybrać i jakimi przesłankami kierować się przy wyborze? Ponieważ ograniczona objętość artykułu nie pozwala na omówienie całości zagadnienia, dlatego też cechy liny podam w wielkim skrócie:

Cechy pierwszorzędne: 1) wytrzymałość statyczna = wartość siły rozciągającej liny w chwili zerwania; 2) wytrzymałość statyczna na kancie = wartość siły rozciągającej liny przegiętą na karabinku w chwili zerwania; 3) wytrzymałość dynamiczna = liczba upadków według kryteriów testu UIAA; 4) siła graniczna = maksymalna siła działająca na ciało wspinacza przy upadku; 5) wydłużenie użytkowe = wydłużenie liny obciążonej ciężarem 80 kg; 6) wodoodporność.

Cechy drugoplanowe: masa liny, cena, poręczność, przesunięcie koszulki, skłonność do spiętań miejscowych, wreszcie kolorystyka.

Wiele z wymienionych tu parametrów podają katalogi i materiały informacyjne firm produkujących liny. Wybór w oparciu o wszystkie nie jest praktycznie możliwy, dlatego proponuję ich selekcję. W wyborze kierujemy się przede wszystkim wytrzymałością dynamiczną, gdyż cecha ta lepiej od innych obrazuje praktyczną wartość liny. W następnej kolejności stawiamy wodoodporność, a dalej masę liny, jej wydłużenie użytkowe i kolorystykę. O cenie przezornie nie wspominać, zakładając, że na bezpieczeństwie własnym oszczędności robić nie można. Tym jednak, którzy zdecydują się na liny wytrzymałą wiele upadków testowych, chciałbym przypomnieć, że liczba „x” określająca wytrzymałość dynamiczną, nie jest karnelem na „x” bezpiecznych odpadnięć. Przeciwnie, obowiązuje reguła, że po każdym ciężkim odpadnięciu liny kasuje się, gdyż niepodobna stwierdzić stopnia uszkodzenia jej materiału.

Mieć liny złą czy żadną?

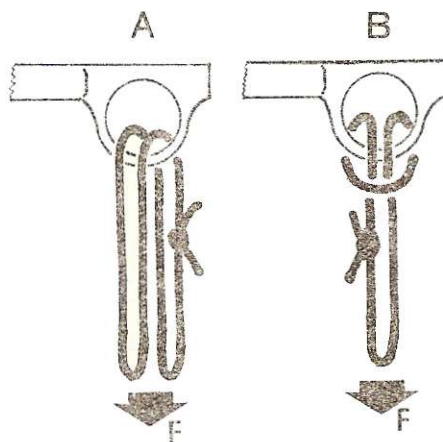
By określić, co to jest upadek ciężki, trzeba przypomnieć pojęcie „współczynnika odpadnięcia”. Jak pamiętamy (?), chodzi tu o stosunek długości swobodnego lotu wspinacza do długości liny podanej przez asekurującego. Współczynnik ten charakteryzuje odpadnięcie pod względem potencjalnego zagrożenia i może się zawierać w granicach od 0 do 2. Za upadek ciężki uznamy każde odpadnięcie o współczynniku większym od 1. Ktokolwiek by się wzbierał przed pocięciem na pętle liny co prawda pozornie nie uszkodzonej, ale oblatanej, niech przypomni sobie słowackie powiedzenie „ważniejsze życie aniżeli sprzęt”. Zresztą w naszych warunkach temat ten jest szczególnie drażliwy, ponieważ często stajemy wobec wyboru:

mieć linę złą czy żadną. Jako wymowna ilustracja cytata z listu Tadeusza Wowkonowicza z Chamonix po tegorocznym tragicznym wypadku Krzysztofa Kraski na Grandes Jorasses: „Widziałem się ponownie z żandarmami z pogotowia górskiego — nie potrafili pojąć, jak Polacy mogą oficjalnie używać podobnych lin.”

Wbrew pozorom, poliamid starzeje się dość szybko, dlatego też nawet nie używana i prawidłowo przechowywana lina po 5 latach musi być skasowana. Wiadomo też nie od dziś, że liny mają żywotność adekwatną do intensywności i charakteru ich wykorzystania. Przeciętny czas życia liny średnio często używanej wynosi 2—3 lata. Liny eksploatowane bardzo intensywnie zużywają się już po roku! Częste wspinanie się po linie z pomocą przyrządów zaciskowych obniża w sposób wyraźny jej wytrzymałość*. Szczególnie niebezpieczne są dla lin ostre krawędzie i duże kąty przegięcia. By uzmysłowić sobie, jak bardzo szkodliwy jest wpływ przegięcia liny na jej wytrzymałość, wystarczy rzut oka do katalogu Edelrida: lina „Hotline-M” o przekroju 11 mm ma wytrzymałość statyczną 2380 kG, natomiast jej wytrzymałość na kancie (promień przegięcia 5 mm, kąt przegięcia 150°) wynosi już tylko 1600 kG! Przypominam, że promień 5 mm odpowiada krzywiznie ramienia zwykłego karabinka. Prowadzone parę lat temu w RFN testy wykazały, iż (z jedynym wyjątkiem) żadna z badanych lin nie wytrzymała rwań według kryteriów UIAA na promieniu równym 1 mm. Dla ciekawskich informacja: wyjątkiem była lina „Futura” Schustera, już nie produkowana.

Aktualnie wysiłek wytwórni lin skupia się na dwóch zagadnieniach: obniżeniu masy i zwiększeniu wytrzymałości na przegięciach. Efektem jest wprowadzenie w ostatnich latach do sprzedaży lin typu „ultralight” czy liny „Edelweiss-Stratos” o podwyższonej wytrzymałości na kancie. Pewne jednak „mankamenty” lin zagranicznych (cena!) sprawiają, że długo jeszcze będziemy klientami „Bezalinu”. Jaki jest więc sens pisanie o kasowaniu oblatanych bądź zużytych lin? Cóż, najważniejsza jest świadomość, reszta zaś, to tylko kwestia wyboru. Są tacy, co wspinają się według zasady „po trzech dupnięciach zmiana na prowadzeniu”. Inni nie latają wcale, idąc zawsze tylko na pół pary. Wstrzymam się od komentarza, wszak jest to sprawa upodobań. Ale do dziś brzmiały mi w uszach słowa Iwana Antonowicza, który obserwując w r. 1976 zawody w Picundzie, na widok spadającego powtórnie na tej samej drodze Helmuta Kühne, znakomitego zresztą wspinacza, powiedział: „Można przejść drogę szybciej lub wolniej, ładnie lub

* Od kolegów z NRD uzyskaliśmy informację, iż przeprowadzili oni próby wpływu przyrządów zjazdowych na liny. Po 250 zjazdach w osiemce wytrzymałość pojedynczej liny spadła w porównaniu z egzemplarzem nowym o 33% (Red.)



Z dwóch sposobów umocowania pętli podwójnej w uchu haka, wariant B jest mniej korzystny (większe kąty przegięcia).

Rys. Aleksander Lwow

brzydko, ale nie można spadać, ponieważ odpadnięcie w alpinizmie równa się przegranej. Dobry wspinacz nie powinien spadać.” I jest w tym sporo racji, choć wiadomo, że gdzieś tam jest Yosemite, a w nim drogi, na których się po prostu lata, i nie ma na to rady.

Matematyka bezpieczeństwa

Prawidłowo skonstruowany sytem asekuracji ma zapewnić prowadzącemu bezpieczeństwo podczas całej wspinaczki. Ryzyko związane ze wspinaniem się bez punktów przelotowych jest oczywiste. Zatem, jak często należy zakładać przeloty? Czy prawdą jest, że „ostatni hak nigdy poniżej kolan”? Przyjmując za obowiązującą zasadę uznającą upadek o współczynniku większym od 1 za ciężki, musimy rozmieszczać przeloty tak, by ew. lot w żadnym momencie nie miał współczynnika większego niż 1. W zagranicznych podręcznikach można znaleźć wariantowe tabele zalecanych odstępów między hakami na wyciągu.

Słabą stroną różnych możliwych wariantów jest — i tego nie można uniknąć — ryzyko związane z przejściem od stanowiska do pierwszego haka. Jak łatwo zauważyć, każdy upadek, jaki nastąpi na tym odcinku, będzie miał współczynnik równy 2 i zagrazi całemu stanowisku. Z tego powodu zaleca się szczególną ostrożność właśnie na pierwszych metrach nad stanowiskiem, a także jak najszybsze stworzenie pierwszego punktu przelotowego. W momencie odpadnięcia prowadzącego, górny przelot jest obciążony siłą, której wartość zależy od współczynnika odpadnięcia. Pomijając tarcie w karabinku, wartości te kształtują się następująco:

współczynnik odpadnięcia	0,4	0,6	0,8	1,0	1,2	1,4	1,6	1,8	2,0
siła graniczna (kg)	500	620	730	830	930	1020	1105	1190	1270
obciążenie przelotu (kg)	1000	1240	1460	1600	1860	2040	2210	2380	2540

Ponieważ wytrzymałość haków skalnych i lodowych jest stosunkowo niewysoka (na ogół nie przekracza 2000 kg), jedynym sposobem, gwarantującym w miarę efektywne ubezpieczenie jest asekuracja dynamiczna (T. 4/74 s. 145). Tej jednak można się nauczyć tylko praktycznie, np. przy użyciu samochodu lub opony samochodowej dociążonej do 80 kg. Droga hamowania przy asekuracji dynamicznej jest uzależniona od współczynnika odpadnięcia i siły hamowania:

	siła hamowania	współczynnik odpadnięcia		
		1,0	1,5	2,0
długość podanej liny		20 m	20 m	20 m
droga hamowania jest równa końcowej rezerwie liny (spadający ciężar: 80 kg)	200 kg	8,4 m 42%	17,2 m 86%	26 m 130%
	250 kg	4,6 m 23%	11 m 55%	17,4 m 87%
	300 kg	3,4 m 17%	8,6 m 43%	13,8 m 69%

Jak widać, ubezpieczenie dynamiczne wymaga istnienia rezerwy liny tym większej, im mniejsza jest siła hamująca, a wyższy współczynnik odpadnięcia.

Na zakończenie kilka słów o pętłach. Pętłe z taśm lub pociętych lin są chętnie stosowane i jest to ze wszelkich miar korzystne. Ułatwiają prowadzenie liny oraz uelastyczniają system asekuracyjny. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, że obciążenia działające na pętłe są identyczne z tymi, jakim pod-

legają hak lub kostka oraz karabinek w punkcie przelotowym. A tymczasem na pętłe przeznaczamy często liny stare i zużyte, chętnie nawet zbieramy w ścianach pozostałe po poprzednikach. Nagminnie spotyka się jeszcze pętłe z polskiej, znanej ze złej jakości liny pomocniczej (tzw. sznura zjazdowego JR 201-6, 5-16). A przecież w stosunku do pętli obowiązują dokładnie te same wymagania, co wobec lin wspinaczkowych (żywność, warunki przechowywania, konserwacja itp.). Wytrzymałość pętli związanej z liny (taśmy) o danej wytrzymałości statycznej można w przybliżeniu określić wzorem następującym:

$$F_z (\text{siła zrywająca pętlę pojedynczą}) = 2 \times \text{wytrzymałość statyczna liny (taśmy)} \times \text{względna wytrzymałość węzła.}$$

Ponieważ węzły, zależnie od rodzaju, obniżają wytrzymałość liny (taśmy) o ok. 25—50%, można napisać:

$$F_z = 2 \times \text{wytrzymałość statyczna liny (taśmy)} \times 0,5 \text{ czyli: } F_z = \text{wytrzymałość statyczna liny (taśmy).}$$

Jeżeli pętlę założymy podwójnie, jej wytrzymałość będzie ok. 2,5 raza większa od wytrzymałości statycznej liny (taśmy). Z pewnym zapasem określa się jednak, że dla pętli podwójnych:

$$F_z = 2 \times \text{wytrzymałość statyczna liny (taśmy).}$$

W ostatnich latach wydarzyło się kilka wypadków taternickich związanych ze złą jakością lin (zwłaszcza polskich) lub nieprawidłowym postępowaniem się nimi. To, że nasze liny są złe, wiadomo nie od dziś. A jeżeli nic w tej materii na razie zrobić nie można, to przynajmniej zachowujmy zdrowy rozsądek. Wszystkim użytkownikom „sznurów podciągowych” i „linek ubezpieczających” życzyć wyobraźni i... szczęścia.

MICHAŁ STĘPKA

Niebezpieczeństwo ostrej choroby górskiej

Góry były i są nadal groźne. Wśród niebezpieczeństw, na jakie narażone są osoby w nich przebywające, ciągle jeszcze zbyt mało doceniane jest zagrożenie ostrą chorobą górską. A przecież w ciągu roku w samych tylko Himalajach i Karakorum ginie w jej wyniku 5—10 uczestników wypraw (nie licząc trekkingów). Coraz to szersze możliwości wyjazdu w wysokie góry stwarzają potrzebę przypominania tego problemu.

Pod pojęciem ostrej choroby górskiej rozumie się zespół różnorodnych objawów klinicznych, będących następstwem działania czynników środowiska wysokogórskiego. Wśród nich w patofizjologii ostrej choroby

górskiej najważniejszą rolę odgrywa hipobaria (obniżenie ciśnienia barometrycznego). Jak powszechnie wiadomo, wraz ze wzrostem wysokości obniża się ciśnienie atmosferyczne i, co za tym idzie, ciśnienie parcjalne tlenu (czyli ciśnienie wywierane tylko przez ten składnik powietrza). I tak na wysokości ok. 5500 m ciśnienie barometryczne obniża się do połowy. Oznacza to, że jednostka objętości wdychanego powietrza zawiera tu jedynie połowę ilości tlenu w porównaniu z powietrzem wdychanym na poziomie morza. Właśnie ów niedobór tlenu prowadzi w dalszej konsekwencji do jego tkankowego niedoboru (hipoksji) i rozwoju objawów chorobowych. Ponieważ najwrażliwszym na nie-

dotlenienie organem jest tkanka nerwowa, nie jest zaskoczeniem, że większość obserwowanych objawów ostrej choroby górskiej jest pochodzenia mózgowego.

W fachowym piśmiennictwie podkreśla się fakt częstego występowania tej jednostki chorobowej u osób nie zaaklimatyzowanych, które znalazły się w średnich i wysokich górach. Należy podkreślić, że objawy ostrej choroby górskiej pojawiać się mogą nie tylko podczas przebywania w najwyższych górach świata. Przeciwnie, nie są one wcale rzadkie u osób przebywających na tzw. alpejskich wysokościach, a w złagodzonej formie zdarzają się nawet w Tatrach (por. T. 1—2/66 s. 2—3).

Ostra choroba górska przybiera różne formy, wśród których można wyróżnić następujące:

Postać uogólniona ostrej choroby górskiej. Jest to prawdopodobnie najczęstsza i zarazem najłagodniejsza postać tej choroby. Cechuje się uporczywymi bólami głowy, nudnościami, zaburzeniami oddychania, zawrotami głowy. Dolegliwościom często towarzyszą zaburzenia psychopatologiczne. Najczęściej objawiają się one apatią, uczuciem znużenia, niechęcią do podejmowania wysiłków a nawet i decyzji. Rzadziej obserwuje się stany euforyczne. Wymienione objawy na ogół ustępują po upływie kilku dni, lecz może się również zdarzyć, że nasilą się one i dołączą się do nich inne symptomy charakterystyczne dla pozostałych form.

Wysokościowy obrzęk płuc. Jest stanem bezpośredniego zagrożenia życia. Częstość jego występowania zależy od osiągniętej wysokości, czasu przebywania na niej oraz tempa jej osiągnięcia. Klinicznie wysokościowy obrzęk płuc objawia się narastającą dusznością, której towarzyszy przyspieszenie częstości oddechów, sinica, bóle w klatce piersiowej oraz wymioty. Nierzadko pojawiają się także uporczywy męczący kaszel, z odkrztuszaniem różowo zabarwionej płwociny. Temperatura ciała utrzymuje się w granicach prawidłowych lub pojawia się stan podgorączkowy. Stopniowo objawy te ulegają nasileniu i mogą szybko prowadzić do zgonu. Na ogół wysokościowy obrzęk płuc rozwija się w ciągu 3—4 dni pobytu powyżej 3500 m. Notowane są pojedyncze przypadki zejścia śmiertelnego w niecałe 8 godzin od momentu wystąpienia pierwszych objawów!

Wysokościowy obrzęk mózgu. Jest to najgroźniejsza forma ostrej choroby górskiej. Najczęściej występuje dopiero powyżej 3500 m. Istnieją rzadkie doniesienia o pojawianiu się tej formy choroby już przy osiągnięciu wysokości 2700 m. Objawami sugerującymi zagrożenie wysokościowym obrzękiem mózgu jest nieustępowanie i nasilenie się dolegliwości postaci uogólnionej, uporczywe wymioty, silne bóle głowy, niepokój oraz dołączające się zaburzenia w funkcjonowaniu ośrodkowego układu nerwowego w postaci zaburzeń świadomości, zaburzeń mowy, występowania niedowładów, zaburzeń koordynacji ruchów, porażen nerwów i innych dysfunkcji neurologicznych, prowadzących w różnym tempie do śpiączki mózgowej, a następnie do śmierci. Nierzadko wyżej wymienionym objawom towarzyszą zaburzenia psychopatologiczne, mogą pojawić się słuchowe lub wzrokowe iluzje lub halucynacje. Objawy te w różnym tempie prowadzą do utraty świadomości, śpiączki mózgowej i w przypadkach najcięższych — do śmierci.

Wysokościowe wylewy śródsiatkówkowe. Są bardzo często stwierdzane u osób przeoływających w wysokich górach. Znalezione je u połowy alpinistów, którzy osiągnęli szczyt o wysokości 5250 m. Powyższe zmiany stwierdzić można jedynie w badaniu oftalmoskopowym (badanie dna oczu). Na ogół nie towarzyszą im żadne dolegliwości ze strony narządu wzroku. Z czasem, po zejściu na niższe obszary, dochodzi do pełnego ustąpienia stwierdzanych zmian.

Przedstawione powyżej zasadnicze objawy ostrej choroby górskiej są podziałem sztucznym, przydatnym do celów dydaktycznych. W praktyce poszczególne postaci tej choroby występują wspólnie i nie zawsze towarzyszą im pełny obraz objawów.

Następstwem przebycia ostrego epizodu ostrej choroby górskiej może być trwałe, organiczne uszkodzenie mózgu, prowadzące do wystąpienia objawów tzw. mózgowej astenii wysokogórskiej. Symptomatologia tego zespołu jest bogata, a wśród objawów za główne uważa się zaburzenia w sferze intelektualnej, emocjonalnej i popędowej. Szczegółowo problem ten omówił Zdzisław Ryn w „Taterniku” 4/1980.

Leczenie. Podstawową i najważniejszą zasadą leczenia każdej postaci ostrej choroby wysokościowej jest jak najszybsze opuszczenie niebezpiecznej wysokości i zejście możliwie jak najniżej. Należy to uczynić bezzwłocznie po rozpoznaniu pierwszych objawów choroby, gdyż jej dalszy rozwój jest trudny do przewidzenia. W przeważającej liczbie wypadków ten najprostszyszy „środek leczniczy” okazuje się najskuteczniejszy. Do czasu uzyskania poprawy, celowe wydaje się podawanie tlenu. Jeżeli warunki na to pozwalają, powinno się uczynić to już podczas transportu.

Leczenie farmakologiczne, co należy dobitnie podkreślić, jest terapią uzupełniającą do wyżej opisanej. Ze względu na charakter artykułu nie będzie przedstawiane.

Zapobieganie. Ponieważ pewne grupy schożeń w sposób szczególny predysponują do wystąpienia ostrej choroby górskiej, dokładne badanie kandydatów do wyjazdu w góry wysokie pozwala zmniejszyć zagrożenie jej wystąpieniem. Szczegółową listę proponowanych badań podał na łamach „Taternika” z 1930 r. Mirosław Janiszewski. Po przybyciu w góry wysokie niezmiernie skrupulat-



Z wyprawy na K2

Mal. Wojciech Serafin

nie należy przeprowadzić aklimatyzację, pamiętając o tym, że nie wszystkim osobom jest ona niezbędna w jednakowym wymiarze. Czas przebywania na najwyższych wysokościach należy ograniczyć do niezbędnego minimum, a powyżej 7500—8000 m nie należy przebywać dłużej, niż 2—3 dni. Wskazane jest, o ile warunki na to pozwalają, nocowanie możliwie nisko. Ujawnienie się jakichkolwiek objawów sugerujących ostrą chorobę górską jest sygnałem do bacznej obserwacji i winno być zgłoszone lekarzowi wyprawy. Jedynie on jest w stanie ocenić stan zagrożonej osoby. Obfite pocenie się, niska wilgotność powietrza, wpływ wiatru sprawiają, że utrata wody z organizmu gwałtownie wzrasta. W związku z tym dobowe zapotrzebowanie na płyny przekracza 3—4 litrów. Brak dodatkowej podaży płynów, wyrównującej te straty, często prowadzi do wystąpienia różnorodnych zaburzeń wodno-elektrolitycznych, które wybitnie przyczyniają się do ujawnienia przedstawionych form ostrej choroby górskiej.

Jeżeli jest to wykonalne, celowe wydaje się używanie tlenu przynajmniej przy atakowaniu najwyższych ośmiotysięczników. Panująca obecnie w himalaizmie tendencja do odrzucania „sztucznych ułatwień”, do których zaliczany jest też tlen, z punktu widzenia medycyny domaga się oceny bardzo krytycznej. Osiąganie tych wysokości bez użycia tlenu, nawet po dobrej aklimatyzacji, jest ogromnym stresem wyrządzanym organizmowi, za który można zapłacić najwyższą cenę. Niezmiernie istotny, choć niedoceniany, jest zakaz używania bez porozumienia z lekarzem wszelkich farmaceutyków. Szczególnie niebezpieczne jest stosowanie środków nasennych i uspokajających. Preparaty te poprzez swój depresyjny wpływ na centralny układ nerwowy hamują m.in. czyn-



Tlen to życie... Wspinaczka z aparaturą tlenową w Himalajach.

Obraz olejny art. malarza Wojciecha Serafina

ność ośrodka oddechowego, co w konsekwencji prowadzi do zmniejszenia ilości przyswajanego tlenu. Zaistniała tą drogą hipoksja zwiększa w warunkach wysokogórskich ryzyko wystąpienia ostrej choroby górskiej.

Jedynie uzupełniająca rolę do wyżej przedstawionych zaleceń może odgrywać prewencja farmakologiczna. Istnieją doniesienia o korzystnym wpływie dwóch preparatów: acetazolamidu i deksametazonu. Stosowanie tych środków w odpowiednich dawkach zmniejsza częstość i intensywność objawów ostrej choroby górskiej. Z uwagi na możliwość działań ubocznych i ewentualne przeciwwskazania decyzję co do ich stosowania powinien podjąć lekarz.

JANUSZ MAJER

W górach Ameryki, 1980

W r. 1980 Kluby Wysokogórskie w Katowicach i Poznaniu zorganizowały wyprawę w góry Ameryki, w rejonie Cordillera Huayhuash, wulkany Ekwadoru, Eldorado Springs Canyon w Colorado, Yosemite Valley oraz Tahquitz Rock w Kalifornii. Wyprawa działała od 10 lipca do 16 listopada, a udział w niej wzięli: Wojciech Dzik, Tadeusz Karolczak, Janusz Majer (kierownik), Jan Łosoń, Zbigniew Wach, Ryszard Pawłowski, Mirosław Pawłowski (fotograf) oraz Ewa i Marek Zierhofferowie.

W Cordillera Huayhuash w Peru dotarliśmy z dużym opóźnieniem (pobyt w górach od 9 sierpnia do 1 września) i zastaliśmy tam złe warunki pogodowe. Mimo tego udało nam się dokonać następujących wejść:

Nevado Rasac (6040 m) wschodnia ściana — Ryszard Pawłowski i Marek Zierhoffer, 18 VIII 1980.

Tsacra Chico Norte (5518 m) północno-wschodnią ścianą — Dzik, Majer oraz Zierhofferowie, 23 VIII.

Tsacra Chico Este (5477 m) północną ścianą Dzik i wspinacz amerykański, Steve Brewer, 31 VIII.

Ze względu na złe warunki atmosferyczne, główny cel w tym rejonie — zachodnia ściana Yerupaja — nie został zrealizowany, mimo zaawansowanej próby (Dzik, Majer i Wach).

W okresie od 11 października do 11 listopada Jan Łosoń w towarzystwie kolegów z Ekwadoru wszedł na wulkany Chimborazo (6310 m) i Cotopaxi (5896 m), przeprowadził też rekonesans w rejonie Altar.

Między 17 a 21 września Dzik, Karolczak, Majer, Ryszard Pawłowski i Wach wspinali się w Eldorado Springs Canyon w USA, przechodząc kilkanaście dróg o trudnościach od 5.7 do 5.10 w skali miejscowej, w tym popularne Bastille Crack (5.7), West Face (5.10) oraz Hair City na The Bastille, a także Touch and Go (5.8) i Redquard Route (5.7) na Redgarden Wall.

23 września grupa udała się do Yosemite Valley, gdzie przebywała do 8 listopada 1980. Zaczęliśmy najpierw od przejścia słynnych długich dróg na Half Dome, Washington Column, Sentinel Rock i Middle Cathedral Rock a wreszcie na El Capitan. Spośród 6 dróg polecanych przez Alana Stecka i Steve Ropera w książce „Fifty Classic Climbs of North America” jako najbardziej atrakcyjne wspinaczki w Yosemite, wyprawa przeszła 4:

El Capitan — The Nose (VI.5.10.A3), T. Karolczak, J. Majer i R. Pawłowski, 10–15 X 1980.

Half Dome — ściana północno-zachodnia (VI.5.9.A2), T. Karolczak i R. Pawłowski, 2–3 X 1980.

Sentinel Rock — droga Steck-Salathé (V.5.9), T. Karolczak i R. Pawłowski, 27–28 IX 1980.

Middle Cathedral Rock — wschodni filar (IV.5.9.A1), J. Majer i Z. Wach, 25 IX 1980.

W okresie tym przebyto też drogi południową ścianą Washington Column (V.5.9.A2) — Majer i Wach, 28–29 IX oraz Kor-Beck na Middle Cathedral Rock (IV.5.9) — Karolczak i Pawłowski, 25 IX. Z uwagi na koń-

El Capitan — The Nose



Sentinel Rock — droga Steck-Salathé

czenie się urlopów, wyprawę kolejno opuścili Dzik, Wach i Karolczak.

Drugi okres naszego pobytu w Stanach poświęciliśmy na przejścia krótszych (po kilka wyciągów) lecz trudnych technicznie dróg, prowadzonych w stylu „free”. Na uwagę zasługują przejścia zachodniej ściany Rixon's Pinnacle (5 wyciągów, dwa 5.10), drogi The Cleft (5.10) na Cooke Cliff oraz drogi Commitment (5.9) na Lower Yosemite Falls, dokonane przez Janusza Majera i Ryszarda Pawłowskiego. W dniach 11 i 12 listopada ta sama dwójka odwiedziła rejon wspinaczkowy Tahquitz i Suicide Rock w południowej Kalifornii, gdzie przebyła dwie drogi o trudnościach 5.9.

Druga część naszej wyprawy była bardzo udana. Mogliśmy skonfrontować amerykańską skalę trudności technicznych z ocenami stosowanymi w Tatrach i naszych skałkach, a także stwierdzić naocznie, na czym polega „free climbing” w wydaniu amerykańskim. W słynnym Yosemite byliśmy jedną z pierwszych polskich oficjalnych grup (w tym czasie działali tam też zakopianie Krzysztof Żurek i Zbigniew Młynarczyk). Narzucało to wybór celów pierwszych wspinaczek — należało „zaliczyć” drogi najsłynniejsze, chociaż już leciwe. Źródłem satysfakcji dla nas było to, że styl naszych powtórzeń nie odbiegał od miejscowych standardów, można nawet powiedzieć, że przeciętnie był od nich lepszy.

Noszak — po 25 latach

Niby niedawne, a jednak jak odległe są już czasy, gdy nie o sobie nie wiedząc dwie wyprawy, japońska i polska, dążyły ku Noszakowi, o którym pisał Arne Naess, kierownik norweskiej wyprawy na Tiricz Mir: „Ponad warstwą chmur... w Afganistanie jakiś ogromny olbrzym wielkości Tiricz Mir wznosił się ponad nami. Szczyt ten był nam całkowicie nieznanym.” Były to lata, kiedy Hindukusz, szczególnie afgański, pozostawał jeszcze krainą prawdziwej egzotyki i białych plam na mapach. Bolesław Chwaściński, inicjator i kierownik I PWH, dopiero w Kabulu dowiedział się, że ma konkurentów, i to w tak dziewiczym obszarze górskim!

W Qadzi Deh, w dolinie, nastąpiło spotkanie z wcześniej przybyłymi Japończykami i dramatyczna próba wykorzystania możliwości wspólnego zdobycia szczytu. 17 sierpnia 1960 r. Goro Iwatsubo i Toshiaki Sakai stanęli na wierzchołku Noszaka, a w 10 dni później wejście powtórzyli Krzysztof Berbek, Stanisław Biel, Jerzy Krajski, Stanisław Kuliński, Jan Mostowski, Zbigniew Rubinowski i Stanisław Zierhoffer.

Wyprawa nawiązała do tradycji z Nanda Devi East (7434 m) z 1939 roku i nieznacznie podwyższyła jej rekord, jednakże w r. 1960 wszystko zaczęło się od nowa. Inicjatywa Bolesława Chwaścińskiego otworzyła zrazu powolny, a później gwałtowny marsz powojennych pokoleń taterników ku sukcesom zrównującym nas z potęgami w dziedzinie himalaizmu — Anglią, Austrią, Japonią. Dziś, gdy podziwiamy wyczyny Kukuczki, Wielickiego, Kurtyki na szczytach ośmioty-

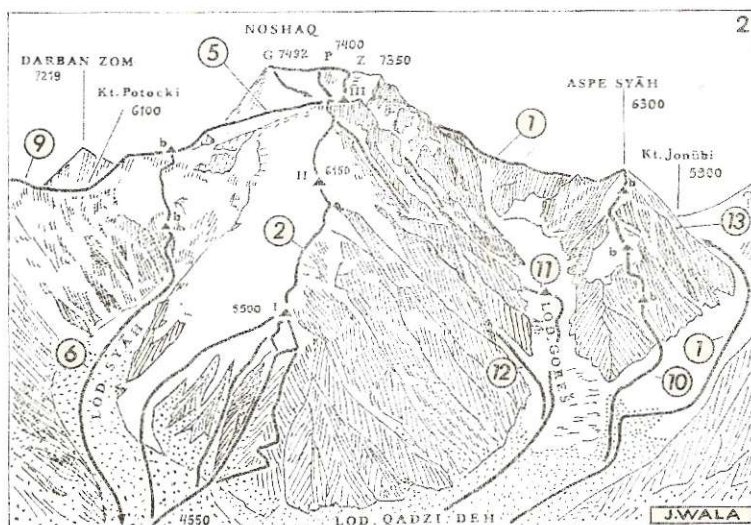


Fot. Józef Nyjka

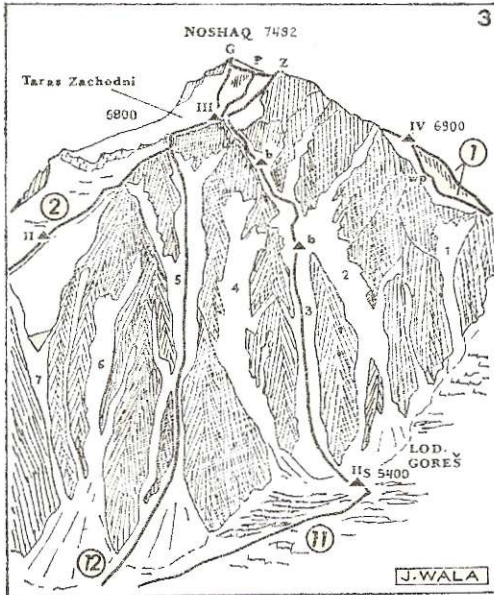
sięcnych, wróćmy myślą do tego masywu, na którego stokach nasi taternicy zdobywali pierwsze doświadczenia.

TOPOGRAFIA

Drugi co do wysokości szczyt całego Hindukuszu, Noszak (Noshaq, na mapach afgańskich Naw Sakh, 7492 m), potraktowany został w tym artykule jako masyw obejmujący również boczne szczyty Shingeik Zom I (7291 m), II (7170 m), III (7150 m), Darban Zom (7219 m) i Aspe Syaah (6300 m). Wszystkie razem tworzą wyniosłość o powierzchni w planie 42 km², wysoko wydzwigniętą nad otoczenie, a z niektórych stron ograniczoną wielkimi urwiskami skalnymi, jak np. południowo-zachodnia ściana zachodniego wierzchołka, północno-wschodnia Darban Zom czy północna i południowo-wschodnia Shingeik Zom. Pomiedzy Darban Zom a granią Shingeik Zom — Noszak leży rozległe plateau Sathaye Darban, łączące się z zachodnim tarasem. Umożliwia to dojście do tych odległych szczytów i północnej ściany Noszaka również z doliny Qadzi Deh (Kozdeh).



Widok od zachodu



ŚCIANA POŁUDNIOWO-ZACHODNIA

Stosunkowo łatwe i bezpieczne (choć tylko w dobrych warunkach) zachodnie ramię, opadające ku dolinie Qadzi Deh, wyprowadza na taras zachodni, skąd już bez trudności osiągalne są poszczególne szczyty. Fakt ten, jak również dobre na ogół warunki pogodowe, spowodowały tak liczne obleganie Noszaka w latach siedemdziesiątych. Mimo to, jak widać z rysunków, istnieją tu jeszcze bogate możliwości wytyczania nowych dróg. Do narzucających się problemów zaliczyłbym trawersowanie grani od Shingek Zom I do zachodniego wierzchołka Noszaka, co zresztą było celem IV PWH 1966, dalej — wejście południową grania na wschodni wierzchołek, a także wytyczenie drogi na jego wschodniej ścianie (zdjęcie w T. 4/76 s. 173). Na rysunkach przedstawione zostały drogi wytyczone w latach 1960—78. Ich nu-

mery odpowiadają kolejnym pozycjom w tekście. Na mapce oznaczono miejsce bazy (B) i PWH 1960 i bazy wysuniętej (BW) grupy W. Stefana, natomiast na lodowcu Darban bazy leżały poza obszarem objętym rysunkiem.

14 DRÓG NA NOSZAK I JEGO TRABANTY

1. Południową granią na Noszak. Z lodowca Qadzi Deh na przełęcz Kootale Jonuubi (5900 m) i granią przez turnie I i II oraz wierzchołek pośredni (7400 m) na główny (7492 m). Tę lodową drogę, z odcinkiem skalnym między turniami, jako pierwsi przebyli Iwatsubo i Sakai od 15 do 18 sierpnia 1960, członkowie Academic Alpine Club of Kyoto Expedition 1960 (3 obozy, czwarty podczas zejścia). Zespół polski zrobił wariant do tej drogi (wp na rys. 4).

2. Zachodnim ramieniem czyli droga normalna. Z lodowca Qadzi Deh ramieniem, na wysokości 6800 m przerwany progiem skalnym (trudności III), na taras zachodni, skąd na wierzchołki zachodni (7350 m), pośredni (7400 m) i główny (7492 m). Tę przełaznię śnieżno-lodową drogę przebyli jako pierwsi G. Gruber, M. Hoßpointner, S. Jungmaier, H. Pils, R. Pischinger, M. Schober i G. Werner, członkowie potoczonych wypraw austriackich — od 16 do 21 sierpnia 1963 r. Założyli oni obozy i biwak w jamie na tarasie. Droga później otrzymała szereg wariantów.

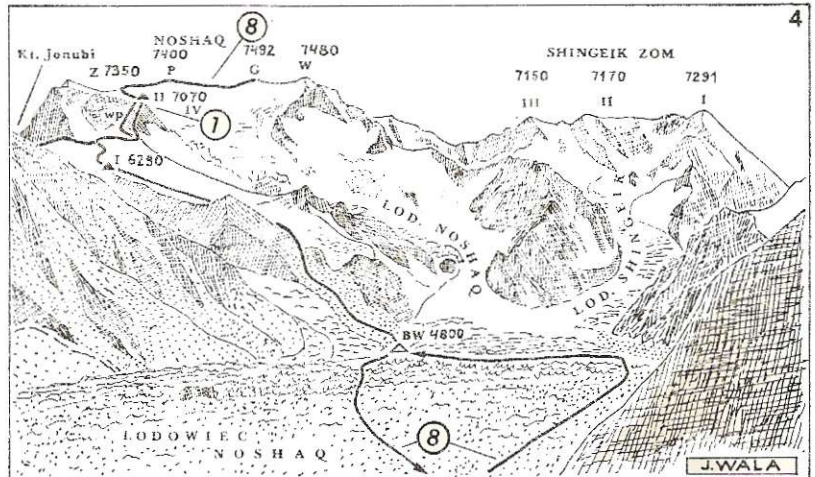
3. Z lodowca Darban na plateau i na Darban Zom (7219 m). Tę czysto lodowo-śnieżną drogę poprowadzili w dniach 10—12 września 1965 r. U. Kössler i M. Schmuck, uczestnicy potoczonych wypraw z Neu Ulm i Meranu. Na szczyt weszli z biwaku na 6400 m.

4. Na Shingek Zom I (7291 m) od północnego zachodu. Na Sathaye Darban drogą 3, stąd stokiem lodowym, pod koniec stromym na szczyt weszli pani Iris Trübswetter i Konrad Hošek w dniu 13 lipca 1966 r. Wyprawą bawarską kierował Thomas Trübswetter.

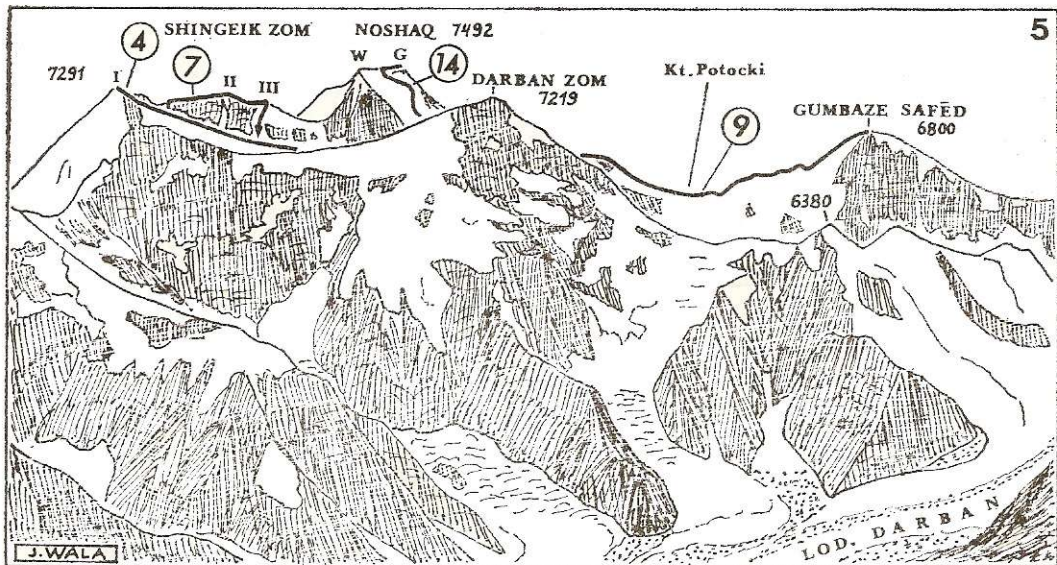
5. Trawers po śniegu z zachodniego tarasu na Sathaye Darban, przebyty 1 września 1965 przez Beiga Jeana Bourgeois, oraz Polaków, Andrzeja Z. Heinricha i Jerzego Potockiego. Podczas odwrotu 4 września zginął w lawinie Jerzy Potocki (krzyżek na rys. 6), pozostali zaś wtrawersowali na grani północną, skąd Heinrich dotarł samotnie 8 września na taras zachodni.

6. Zachodnią ścianą z północnej grani Noszaka zszedł na lodowiec Syah Jean Bourgeois (zob. Wyżę) drogą w górze śnieżną. W dole skalista o trudnościach IV—V w dniach 6 i 7 września 1966 (T. 2/67 s. 80).

7. Trawersowanie grani Shingek Zom II (7170 m) — Shingek Zom III (7150 m). Z zachodniego



Widok od południa



Widok od północnego wschodu

Rysunki: Jerzy Wala

tarasu drogą 5 i 4 na grań między Shingeik Zom I i II i dalej granią, zejście z Shingeik Zom III wprost na plateau (rys. 5). Tę lodowo-snieżno-skalną drogę przebyli 20 sierpnia 1969 bracia Anton i Ambros Aichhornowie, biwakując na Sathaye Darban (wyprawa austriacka, kierowana przez Wolfganga Axta).

9. Północną granią Noszaka do Gumbaze Safeed (6800 m). Ze szczytu przez taras zachodni, przecięż Kootale Potocki i granią lodową z fragmentami skalnymi na Gumbaze Safeed z zejściem drogą polską przez lodowiec Safeed. Dokonał tego samotnie Louis Adoubert 21 sierpnia 1971 r.

8. Z lodowca Upper Tirich południową granią na Noszak (7492 m). Z bocznej odnogi lodowca Upper Tirich, zwanej Lodowcem Noshaq, najpierw piargami, następnie zaś stokiem lodowym na południową grań, skąd drogą 1 na główny wierzchołek Noszaka (7492 m). Drogę przeszli Wolfgang Stefan, Harold Navé i Dieter Eger w dniach 20–23 lipca 1971 r.

10. Północno-zachodnią granią na Aspe Syaah (ok. 6300 m). Z lodowca Qadzi Deh z prawej strony grani. W dół wspinaczka skalna, w górze mieszana (IV–V+). Drogę przebyli 14–17 września 1971 r. Kazimierz Głazek i Kazimierz Piotrowski, schodząc przez Kootale Jonuubi.

11. Południowo-zachodnią ścianą na taras zachodni tzw. III kuluarem. Z lodowca Qadzi Deh przez boczny lodowiec Goresh, skąd kuluarem na pole lodowe u zbiegu z kuluarem II. Dalej skalno-lodową rynną na taras zachodni, z którego drogą 2 na wierzchołki Noszaka. Drogę przebyli Janusz Kurczab, Jan Holnicki-Szulc i Krzysztof Zdzitowiecki od 19 do 22 sierpnia 1972 r. Holnicki i Zdzitowiecki weszli z tarasu 23 sierpnia na Noszak.

12. Droga V kuluarem południowo-zachodniej ściany, również z lodowca Goresh. Zachodnie ramie osiąga tuż pod progiem skalnym. W końcowym odcinku II–III. Pierwsze przejście 19 i 20 sierpnia 1977 r. Zoran Brešlin, Marijan Brisar i Janez Marincić z Lublany.

13. Południową ścianą Aspe Syaah (6300 m). Drogę przeszli członkowie tej samej wyprawy, Danilo Cedinik i Viktor Grošelj 19 sierpnia 1977 r. Brak danych o jej przebiegu.

14. Północną ścianą na Noszak. Z tarasu zachodniego drogą 5 do podstawy ściany u początku Sathaye Darban, stąd stokiem lodowym, obchodząc seraki i skały, na grań między wierzchołkami głównym i wschodnim, skąd na szczyt

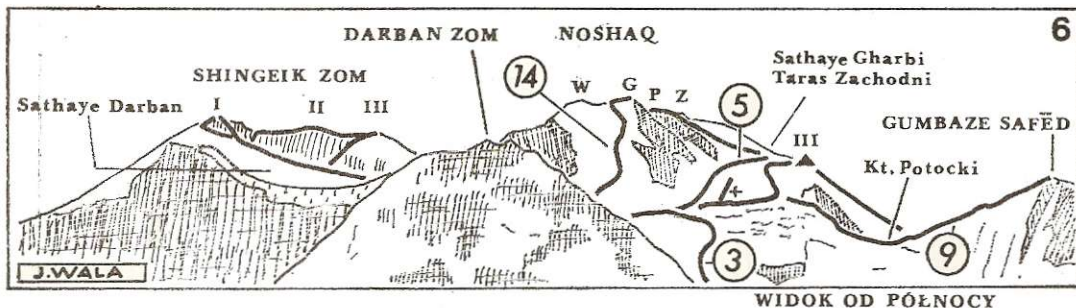
główny (7492 m). Przejścia dokonali Matthias Avirovic, Christoph Engele, Helmut Rudele i Hubert Weinzierle 23 i 24 sierpnia 1978 r. Ta przeszło 900-metrowa ściana lodowa o nachyleniu 40–50° od lat była w planach różnych wypraw. Pokonał ją dopiero zespół DAV.

POLSKIE WYPRAWY

Stosunkowo łatwo dla nas wówczas dostępny, masyw Noszaka stał się w latach 1960–1977 celem aż 12 wypraw. Pierwsza była ogólnopolska, dalsze — 5 z Warszawy, 2 z Krakowa i po 1 z Katowic, Poznania, Torunia, Wrocławia i Zakopanego. Łącznie wzięło w nich udział 110 mężczyzn i 6 kobiet, nie licząc 11 uczestników z zagranicy (w tym 3 pań). Na wierzchołkach stanęło łącznie 131 Polaków: na Noszaku Wschodnim — 5, na głównym — 59 (w tym 5 kobiet), na Pośrednim — 60 (w tym 5 kobiet), na Zachodnim — 1, na Darban Zom — 2, na Shingeik Zom — 2 i na Aspe Syaah — 2. Z zagranicznych uczestników polskich wypraw na 3 wierzchołki wszedł Belg z IV PHW 1966, na główny zaś Alison Chadwick-Onyszkiewicz w 1972 r., 6 Jugosłowian w 1976 i Czeszka dołączona do wyprawy tureńskiej w 1977 r.

Jak z powyższego wyliczenia wynika, 50% Polaków i 66% Polek stanęło na wierzchołkach 7-tysięcznych, zaś spośród zagranicznych uczestników — 87% mężczyzn i 100% kobiet.

Najwybitniejszym sukcesem — nie tylko zresztą polskim — było na Noszaku zimowe wejście, dokonane w nocy z 13 na 14 lutego 1973 przez Andrzeja Zawadę i Tadeusza Piotrowskiego. Od niego to rozpoczęła się zimowa eksploracja najwyższych szczytów Ziemi. Innego typu rekordem może się poszczycić Krzysztof Zurek, który 22 lipca 1976 r.



wszedł z bazy na główny wierzchołek w ciągu jednego dnia (11 godzin).

WYPRAWY ZAGRANICZNE

Dzisiaj trudno by już było zestawić wszystkie wyprawy i wejścia w masywie Noszaka. Listę wejść doprowadzono tylko do 18 pozycji. Z niekompletnych danych doliczyłem się 36 wypraw i zespołów (nawet dwuosobowych) z 331 uczestnikami. Narodowości było 13, najwięcej Austriaków. Najliczniejsza, bo 53-osobowa wyprawa została zorganizowana we Włoszech, a kierował nią Reinhold Messner. Miała ona w składzie nawet Szerpów! Z wymienionych 331 osób tylko 110 osiągnęło główny wierzchołek, co stanowi 33% ogółu uczestników, a licząc razem z Polakami — 38%. Porównując dane można stwierdzić, że nawet w przeciętnej grupie nie ustępujemy alpinistom zachodnioeuropejskim. Rzecz znamienna, że na wschodni wierzchołek Noszaka poza dwójką zdobywców (1963) i szóstką z IV PWH 1966 nikt nie powtórzył wejścia, również do Shingeik Zom I—III i Darban Zom dotarło z Doliny Qadzi Deh niewiele osób (m.in. 5 Polaków, w tym Kazimierz W. Olech dwukrotnie w r. 1976). Interesującym wydarzeniem był w 1970 r. zjazd na nartach z Noszaka, dokonany przez Tyrolczyków. Dnia 25 lipca K. Gabl, G. Markl, H. Moser, R. Schulz i U. Schwabe zjechali z głównego wierzchołka 2600 m, zdejmując narty tylko na odcinku 250 m poniżej obozu III.

KOBIETY NA NOSZAKU

Na najwyższym szczycie Afganistanu stanęło 13 pań, w tym 4 Polki. Jedna kobieta

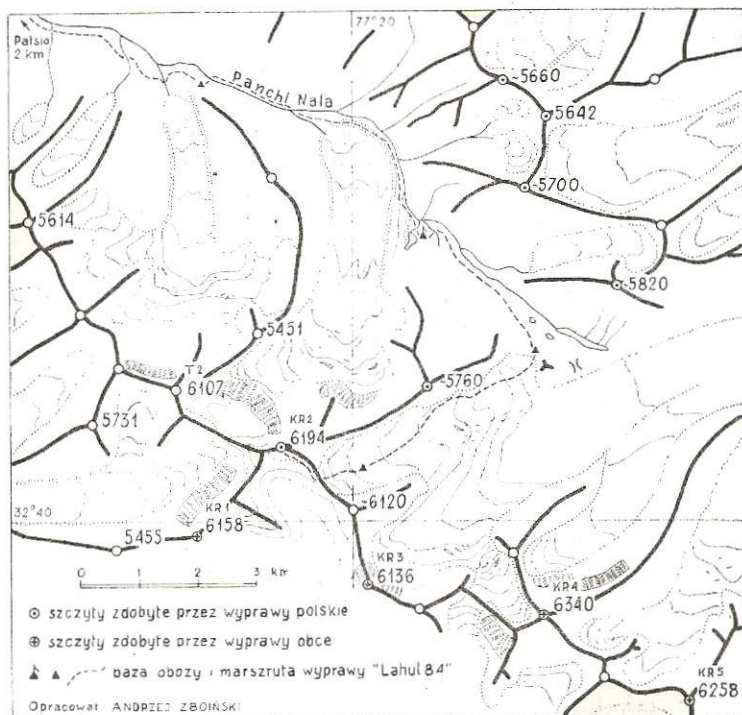
doszła tylko do wierzchołka pośredniego (7400 m), a 3 weszły tylko na zachodni (7350 m). Pierwszą w tym masywie była Iris Trübswetter (droga 4), ale jeszcze tego samego lata do pośredniego wierzchołka dotarła Isabelle Agresti (1 września 1966). Na głównym wierzchołku jako pierwsza stanęła uczestniczka wyprawy tyrolskiej, Alice Liska (13 sierpnia 1969), której rekord w Hindukuszu ostatecznie podwyższyły Hanna Müller i Hannelore Schmatz na Tiricz Mir (7706 m) w r. 1975. Na Noszaku panie ustanawiały rekordy krajowe: Włoch — Giuse Locano 1972, Czechosłowacji — Margita Štěrbová 1977, Hiszpanii — Mouserrat Jou 1975 (do 7350 m), Jugosławii — Slava Mrezar 1977 (też do tej wysokości). Wprawdzie Wanda Rutkiewicz i Ewa Czarniecka-Marczakowa weszły w r. 1972 na Noszak, ale w tym samym czasie Anna Okopińska stanęła na Piku Kommunizma, co spowodowało polemikę, do kogo należy rekord, zresztą niebawem podwyższony przez te same panie. Na głównym szczycie Noszaka stanęły nadto Maria Mitkiewicz (26 sierpnia 1974) i Aleksandra Szafirska (19 lipca 1976), 15 sierpnia 1974 na szczyt weszła młoda Austriaczka, Erika Schromm, która przybyła pod Noszak jedynie z bratem.

Z wyjątkiem uczestniczek VI PWH 1966, wszystkie Polki biorące udział w wyprawach weszły na szczyt główny. Warto tu też podkreślić, iż panie uczestniczące w wyprawach polskich i zagranicznych były w wejściach wysokościowych lepsze od panów — przeszło 60% osiągnęło wierzchołki siedmiotyśczne.

Lahul 1979 i 1984

Północna część masywu górskiego Lahul w Himalajach Zachodnich, a szczególnie otoczenie doliny Koa Rong z 11 sześciotyścznikami (główne noszą symbole KR1 — KR7), długo pozostawała rejonem dziewiczym. Zorganizowana przez Mazowiecki Klub Górski „Matragona” wyprawa w r. 1977 była pierw-

szą, która weszła do doliny Koa Rong z zamiarem zdobycia szczytu KR1 (6158 m). Cel wyprawy nie został, niestety, osiągnięty (T. 2/78). W r. 1979 zorganizowaliśmy następną wyprawę, tym razem na drugi co do wysokości szczyt rejonu Lahul, KR4 (6340 m). Wyprawa od początku miała pecha. W Delhi



U dołu strony: Szczyt KR2 od północnego wschodu — widok spod szczytu 5820 m.

Fot. Maciej Gieraltowski

13 dni oczekiwała na zezwolenie. W Manali okazało się, że po ciężkiej zimie przełęcz Rohtang i dolina Chandry są nadal nieprzejezdne, co zmusiło nas do zorganizowania karawany już tutaj i przejścia z nią 120 km. Gdy 27 czerwca założyliśmy bazę w dolinie Panchl Nala (4250 m), na działalność w górach pozostało zaledwie 8 dni. Cel główny wyprawy stał się nieosiągalny, dokonano jednak paru interesujących wejść:

30 czerwca 1979 Andrzej Kucyper i Andrzej Zboiński (kierownik) weszli na szczyt ok. 5700 m (miejscami III).

4 lipca ci sami wraz z Maciejem Gieraltowskim i Andrzejem Kuszczakiem osiągnęli szczyt ok. 5760

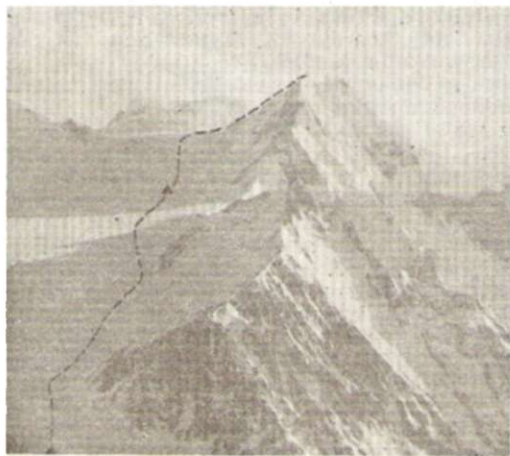
m po zachodniej stronie przełęczy. Józef Wiśniewski wszedł samotnie na szczyt 5642 m.

5 lipca Elżbieta Grajewska, Marek Malinowski, Bożena Zboińska i Andrzej Zboiński weszli na wznoszący się nad bazą szczyt ok. 6660 m. Tego samego dnia Gieraltowski, Kuszczak i Kucyper weszli na położony na zachód od przełęczy szczyt ok. 5820 m. Poza tym ostatnim, na który weszła zapewne wyprawa krakowska w r. 1976 (T. 3/77), pozostałe 4 były szczytami dziewiczymi.

Pierwszy ze szczytów KR, KR3 (6136 m), został zdobyty w r. 1980 przez wyprawę brytyjską. W rok później Japończycy weszli granią północno-wschodnią na szczyt KR1 (6157 m). W r. 1982 ekspedycja brytyjska dokonała I wejścia na KR4 (6340 m), w 1983 kolejna wyprawa japońska powtórzyła wejście na KR4 i zdobyła KR5 (6258 m). Dziewicze pozostały tylko położone najbardziej na południe KR6 i KR7 oraz KR2, atakowany przez wyprawy brytyjską w r. 1967 (?) i hinduską w 1983. Wybraliśmy go za cel naszej trzeciej wyprawy.

Wyruszyła ona z Warszawy 31 lipca 1984, a w skład ekipy weszli Maciej Gieraltowski, Antoni Koziorowski (lekarz), Jacek Szawdyn (lekarz), Grażyna Tokarczyk, Ryszard Tokarczyk, Józef Wiśniewski, Ryszard Wrona, Krzysztof Wrocławski i Andrzej Zboiński (kierownik).

Po zorganizowaniu karawany (9 koni) w Darchy, w ciągu 1 dnia doszliśmy do miejscowości Patsio u wylotu 15-kilometrowej doliny Panchl Nala. Po 2 dniach marszu, doszliśmy 13 sierpnia do jeziora powyżej dru-



giego progu doliny. Było to najpiękniejsze i najdogodniejsze w całej dolinie miejsce do założenia bazy (4650 m). Plan wejścia na KR2 zakładał okrążenie góry od południa przez przełęcz i leżącą za nią wielki lodowiec, a następnie wejście na wierzchołek granią południowo-wschodnią. Został też dokładnie wykonany. Już 17 sierpnia założono obóz I pod przełęczą, u czoła wielkiego lodowca (5160 m). W 4 dni później pod granią naszego szczytu stanął obóz II (5660 m). Dobrą łączność między obozami i bazą zapewniały radiotelefony „Tukan-1”. Po zaporczerwaniu (200 m) wejścia na przełęcz w grani i pokonaniu bariery seraków (IV) górnego lodowca za granią, dnia 23 sierpnia

1984 Ryszard Wrona i Andrzej Zboiński pokonali śnieżno-skalistą grań (II—III) i o godzinie 11.45 weszli na szczyt KR2 (6194 m). W dwa dni później wejście powtórzyli G. i R. Tokarczykowie oraz K. Wroczyński.

Pogoda, na początku wyprawy ładna, z upływem dni pogarszała się, a działalność utrudniały występujące po południu i nocą silne wiatry i narastające opady — deszczu, a wyżej śniegu. Szczególnie wejście drugiego zespołu miało przebieg dość dramatyczny. Na szczęście obyło się bez wypadków i cały zespół wrócił 27 sierpnia do Darchy.

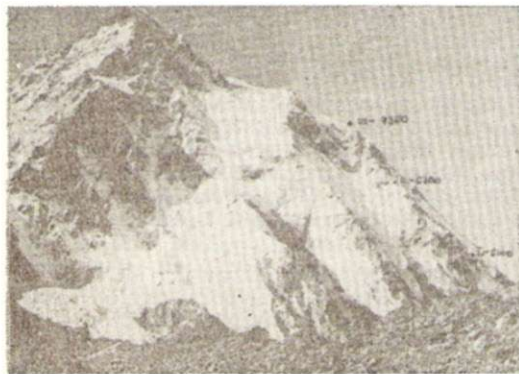
Andrzej Zboiński

KRYSTYNA PALMOWSKA

Ośmiotysięcznik za osiem tysięcy

Czy warto pisać o wyprawie, która się nie powiodła? Z każdym rokiem rośnie liczba wypraw w Himalaje — mniej więcej połowa z nich, to wyprawy nieudane. Przyczyny mogą być różne: niepogoda, zbyt słaby zespół, nie stojący na wysokości zadania kierownik. W naszym przypadku można by się zastanawiać, który czynnik był decydujący. Wydaje się jednak, że wyjaśnienie naszego niepowodzenia leży gdzieś indziej. Wyprawa kierowana przez Stefana Woernera nie zdobyła K2, ponieważ nie to było jej celem. Ale o tym miałyśmy się przekonać na własnej skórze dopiero podczas akcji.

O swoich planach powiedział nam Woerner jeszcze w bazie pod Broad Peakiem w r. 1983, ogromnie wówczas zadowolony ze zdobycia przez jego zespół 3 ośmiotysięczników. Hasło K2 działało jak magnes, największy problem stanowiły pieniądze. Pod koniec lata dostałam list. Reklamówka wyprawy na K2 i Broad Peak, kierowanej przez Woernera, głosiła, że warunkiem uczestnictwa jest wpłacenie 17 000 franków (ok. 8000 dol.). Dodatkowe kryterium stanowiły kwalifikacje górskie. W odpowiedzi zaproponowałyśmy pokrycie tylko niewielkiej części sumy, i to nie w gotówce, lecz w sprzęcie. Ku naszemu zdziwieniu, Woerner podtrzymał zainteresowanie naszym udziałem, przetargi były jednak długie i męczące. W krytycznym momencie pojawiła się Wanda Rutkiewicz. Wyszło na to, że — choć zadłużone po uszy — to jednak pojedziemy.



Pod koniec kwietnia wyleciałyśmy z Warszawy: Anna Czerwińska, Dobrosława Wolf (Mrówka) oraz ja. W Pakistanie dołączyła do nas Wanda. Była to dla niej pierwsza wielka próba po prawie 3-letniej przerwie spowodowanej skomplikowanym złamaniem nogi. Jeszcze jedna niewiadoma, której ryzyko trzeba było podjąć.

Ekipa Woernera obejmowała 29 alpinistów 8 narodowości, podzielonych na różne grupy. Większość nazwisk niewiele nam mówiła, ale za wszystko starczyły dwa: Habelera i Diembergera. To nie mogło się nie udać!

Start był zbyt wczesny. „Gdzie te obiecane upały?” — pytała z wyrzutem zmarzniała Mrówka, jedyna wśród nas himalajska nowicjuszka. Od Urdokas brnęliśmy już do końca w głębokim śniegu. Baza została rozbita 15 maja. Założenie dwóch pierwszych obozów zajęło nam ok. 2 tygodni co, biorąc pod uwagę fatalną pogodę, było czasem przyzwoitym. Prawdziwe problemy zaczęły się przy zakładaniu obozu III (7350 m), a szczególnie przy poręczowaniu Czarnej Piramidy, osławionej ze względu na trudności techniczne. Praca była trudna i wymagała właściwej koordynacji. Tymczasem taktyka kierownika zakładała, że „każdy robi co chce”. Większość uczestników, nie mająca żadnego doświadczenia wyprawowego, chciała wejść jak najwyżej, jak najmniej pracując. Najcięższą część roboty wzięli na siebie nasi najlepsi przewodnicy: Peter Habeler i Stéphane Schaffter. W zakładaniu poręczówek współuczestniczył nasz zespół kobiecy. Także Ruedi Schleggenbauer zawsze był w górze. Stało się jednak jasne, że choć znakomici wspinacze, nie byli oni przygotowani, ani upoważnieni do koordynacji działań na szerszą skalę. Pierwsza próba założenia „trójki” zakończyła się fiaskiem, gdy po gwałtownej kłótni z Woernerem przez radiotelefon Peter i Stéphane nieoczekiwanie zdecydowali się na zejście. „Niech teraz popracują tyły, my na razie mamy dosyć”, powiedział Peter.



Stoją od lewej: Dobrosława Wolf, Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska i Wanda Rutkiewicz.

Fot. Wanda Rutkiewicz

Załamanie „gwiazd” było na szczęście chwilowe. Akcję wznowiliśmy, gdy tylko poprawiła się pogoda. W tym czasie nasz szturmowy zespół skurczył się do połowy: Ankę wyeliminowały niedomagania, Wanda dochodziła dopiero do formy po operacji poważnie zainfekowanego palca. We dwie z Mrówką musiałyśmy wynieść wyposażenie obozu III. Ostatni trudny odcinek stanowił stromy, miejscami przewieszający się serak. Oglądając z dołu akrobacje idącego prawie bez obciążenia Petera, zastanawiałam się, jak przejdziemy to my. Jakoś sobie poradziłyśmy. Bezsilna rozpacz ogarnęła mnie znowu, gdy dwa maszty wyniesionego przeze mnie nowego „Dunlopa” pękły przy próbie ich naciągnięcia. Wizja koszmarnego biwaku stanęła mi przed oczami. Tymczasem Mrówka wyjęła spokojnie z piecaka drugi namiot. „Wzięłam go na wszelki wypadek z depozytu, chciałam żeby jutro stanął w czwórce” — powiedziała.

„Czwórki” nie udało nam się jednak osiągnąć — plany pokrzyżowała niepogoda. Tym razem jednak zaniosło się na dłużej. Schodząc 27 czerwca z „trójki” nie przypuszczałam, że wrócimy tu dopiero za 3 tygodnie, kiedy będzie już za późno. Tragaryz zamówił Woerner na 15 lipca, bez względu na wyniki akcji. Wobec nikłej i topniejącej z każdym dniem niepogody szansa wejścia na K2, fala uczestników rzuciła się na łatwiejszy Broad Peak*. Tylko my trwałyśmy w uporze. Byłyśmy zaaklimatyzowane i czułyśmy formę. Kluczowy obóz III został założony i wyposażony. Wystarczyło parę dni pogody, aby podjąć uciążliwą próbę ataku szczytowego. Poddać się teraz? Nie do pomyslenia. Tymczasem Woerner, do którego należało ostatnie słowo, odmówił, w miarę naszych nalegań usztywniając swoje stanowisko. „Ministerstwo i tak robiło mi nieprzyjemności z powodu zbyt licznej ekipy — mówił. — Mam za dużo interesów w Pakistanie, aby ryzykować jakiegokolwiek problemu z waszego powodu. Aż tak bardzo nie zależy mi na szczycie.” Podjęliśmy dramatyczną decyzję: wyruszamy czwórką do góry i jeśli

tylko będzie pogoda, idziemy do szczytu bez względu na konsekwencje. W przeciwnym razie likwidujemy obozy i bezzwłocznie wracamy. Rozstrzygnięcie przyszło feralnego 13 lipca. W huraganie ledwo doszliśmy do „trójki”. „Z dołu wyglądało to niesamowicie, mam kapitalne ujęcie z seraka” — powiedział potem Kurt, który kręcił film z wyprawy. My nie miałyśmy powodu do radości. Decyzja zejścia była bezdyskusyjna. Miary goryczy dopełnił fakt, że następnego dnia nastąpiła piękna pogoda. W czasie całej wyprawy nie było tak bezchmurnego nieba, jak 14 lipca, gdy znosiliśmy do bazy wyposażenie z górnych obozów. Pogoda trwała jeszcze kilka dni. Wystarczyło przeczekać ten jeden dzień...

Dopiero w czasie działalności uświadomiliśmy sobie z zaskoczeniem, że uczestniczymy w wyprawie nowego typu, że rola naszego lidera sprowadzona została do roli szefa dochodowego „biura podróży na ośmiotysięczniki”. Tyle, że w swoich drobiazgowych planach zapomniał o wchodzeniu na górę. Zbyt późno zdaliśmy sobie z tego sprawę. Prawdą jest również, że nikt z nas nie był przygotowany na to, aby przejąć kierownictwo sportowe z rąk nominalnego szefa. Pytanie, czy było to w ogóle możliwe. Imprezy tego typu mogą się powieść w tym sensie, że unikną poważniejszego wypadku. Może się im nawet udać wejść na szczyt, o ile tylko nie jest on zbyt trudny. K2 nie należy do tej kategorii, przynajmniej na razie.

Tam, gdzie wkracza biznes, kończy się przygoda. Wyprawy Woernera (i jemu podobnych przedsiębiorców) zamykają pewną epokę w historii alpinizmu: epokę zdobywania ośmiotysięczników.

* A oto wyniki wyprawy: W dniu 26 czerwca zdobył Broad Peak przez 2 Szwajcarów i Kolumbijczyka. Mieli dużo szczęścia, gdyż jeden ze Szwajcarów spadł w czasie zejścia z przełęczą ok. 300 m. 13 lipca wszedł na Broad Peak Niemiec Ruedi Schleggen — zapłacił za to ciężkimi odmrożeńiami. 17 lipca na Broad Peak weszli Angielka Julie Tullis i Austriak, Kurt Diemberger — już po zamknięciu wyprawy i bez zgody kierownika. I ta dwójka cudem uniknęła wypadku.



ADAM BILCZEWSKI

Dhaulagiri zimą 1984—1985

Fot. Józef Nyka

Dnia 21 stycznia 1985, w środku himalajskiej zimy, po 7 tygodniach dramatycznych zmagani, został zdobyty przez Polaków szczyt Dhaulagiri (8167 m) w Himalajach Nepalskich. W skład wyprawy, zorganizowanej przez Klub Wysokogórski Gliwice, wchodziło 10 osób: Adam Bilczewski (kierownik), Janusz Baranek, Andrzej Czok, Julian Kubowicz, Jerzy Kukuczka, Mirosław Kuraś, Andrzej Machnik, Janusz Skorek (zastępca kierownika), Wacław Sonelski i Krzysztof Witkowski (lekarz). Do wysokości bazy wysuniętej działała też Małgorzata Froment-Bilczewska. Bagaż przerzucono ciężarówką Jelcz, prowadzoną przez Kubowicza. Eskortę stanowili Czok, Sonelski i Kuraś.

O KROK OD TRAGEDII

Niemożliwe stało się rzeczywistością. W dniu 3 grudnia 1984 r. rozbijaliśmy namioty na łąkach Tsaurabon (3800 m). Blisko setka porterów składała ładunki, my rozpaliliśmy płachty spadochronowe, aby lekko ubranym i bosym ludziom umożliwić przetrwanie mroźnej nocy. W spokojnym powietrzu podnosiły się w górę dymy ognisk. Patrzyłem na zerwy zachodniej ściany Dhaulagiri, na granie udekorowane pióropuszcami zmiatanego śniegu i usiłowałem uwierzyć w prawdę oczywistą: to, że góra jest nad nami. Jutro już tylko część tragarzy pójdzie szczeliną lodowca Mayangdi — pod północną ścianę. Zwiad w osobach Czoka, Machnika i Kubowicza donosił przez „Klimka”, że założenie bazy w górze będzie w tych warunkach trudne. Chłopcy sugerowali dobrze zaopatrzoną bazę wysuniętą. Wyglądało więc na to, że baza pozostanie na Tsaurabonie i pełnić będzie rolę sanatorium dla chorych — zdrowi działac będą wyżej.

Odległe już wydały mi się dni rozpacz, kiedy to tuż przed wyruszeniem samochodu otrzymałem od współorganizatorów z Brazylii telegram: „Nie mamy pieniędzy ani żadnej możliwości ich zdobycia. Sorry.” Potem były telefony do Paryża. bezsenne noce i... samochód wyruszył w terminie! W ślad za nim wylecieli uczestnicy. Granica indyjsko-pakistańska była wprawdzie zamknięta, lecz Ambasada w Delhi czyniła starania o otwarcie jej dla polskiego „Jelca”. Zezwolenie miało lada moment spłynąć do moich rąk, gdy kule wymierzone w Indirę Gandhi zburzyły w Indiach

cały porządek. Pozostała ostatnia możliwość: skierować samochód do Karaczi na polski statek, co dawało nikłą szansę dołarcia do stóp góry w początku stycznia. Toteż pojawienie się załogi „Jelca” w hoteliku we wstrząsanym zamieszkałym Delhi przyjąłem jako sen. Przedarli się w najgorętszym okresie i bez specjalnego permit! Potem wszystko szło normalnym trybem, aż do startu karawany. W miejsce uzgodnione wcześniej i znane go nam spod Makalu sardara Ang Kamiego wszedł 40-letni Lakpa. Do Tsaurabon prowadził karawanę 11 dni. A można było tylko 8 — ale z Ang Kamim! Oficer łącznikowy, mądry i ukladny Purna Singh Lama, musiał kilka razy łagodzić spory, ustawić obsługę nepalską i sardara.

Wieczorem 3 grudnia wszystko wskazywało na to, że kłopoty się skończyły. Rano o 5.30, a więc jeszcze w zupełnych ciemnościach, usłyszałem pianie koguta. Sierpowie kupili go w ostatniej wiosce i przynieśli aż tutaj jako żywy rosół. Jakby w odpowiedzi doszedł mnie huk walących się na zachodniej ścianie seraków. Był to obryw bariery lodowej na wysokości 7000 m. Wywołał monstrualną lawinę, która zatrzymała się wprawdzie dobrych 500 m od nas, ale jej podmuch zdemolował całkowicie miejsce bivaku. Jedynym namiotem, który ocalał, był GAC oficera, przeniesiony 5 m w dół — wraz z kamieniami, do których był przywiązany. Elementy innych namiotów znajdowały się później jeszcze w odległości kilometra. Ofiar w ludziach na szczęście nie było. Nawet kogut ocalał. Porwany podmuchem wylądował kilkaset metrów niżej i wrócił o własnych siłach, choć mokry i wymiętoszony.

ZAKŁADAMY OBOZY

Tragarze, po przebytych szoku, odmówili pójścia pod północną ścianę. W tej sytuacji bazę przesunęliśmy 100 m niżej (3700 m) —

Prace przy obozie II

Fot. Adam Bilczewski



do lasu. Do noszenia ładunków w kierunku bazy wysuniętej udało się skłonić 17 ludzi. Wynieśli oni w ciągu 3 dni 1200 kg na wysokość 4200 m. Do przyszłej bazy wysuniętej były stąd jeszcze 4 godziny drogi. Dalej działaliśmy już sami. Baza wysunięta (4600 m) powstała 5 grudnia. Nie na długo: 9 i 10 grudnia została ona zniszczona przez trąby powietrzne, niosące żwir zebrany z moren bocznych. Z pogromu ocalały jedynie 2 namioty szturmowe. Dnia 12 grudnia przenieśliśmy bazę wysuniętą do pobliskiego wawozu lodowego. Tymczasem przyszyły opady śniegu, uniemożliwiające akcję na polach śnieżnych północnej ściany, mieliśmy bowiem zamiar tamtędy szturmować górę. Wobec wycofania się wyprawy japońskiej z grani północno-wschodniej, zdecydowaliśmy się na zmianę drogi na normalną.

15 grudnia stanął obóz I (2 namioty, 5200 m) na trawersie pod ścianą „Eigeru”. Trawers był cholernie trudny. Musieliśmy pokonywać i poręczować pionowe ściany wypolerowanego dolomitu o trudnościach IV/V. Obóz II (5800 m) założyliśmy 20 grudnia w szczelinie lodowej, powyżej Przełęczy Północno-Wschodniej. Po rozbudowie tworzyły go 2 namioty mieszkalne i 1 magazynowy.

Święta Bożego Narodzenia zespół spędził w bazie. Była jodełka ustrojona zabranymi z kraju cacuszkami, a pod nią żłobek z siankiem i wyrzeźbionym z mydła Dzieciątkiem. Były opłatki i 12 potraw, łącznie z barszczem z uszkami. Na końcu były koledy.

Działalność wznowiliśmy 27 grudnia. W 4 dni później dołączył do wyprawy Jerzy Kukuczka. Ja ostatnie dni roku spędzałem z Barankiem, Kubowiczem i Witkowskim w obozie II. Od 28 grudnia walczyliśmy o utrzymanie namiotów. Zwały odrzucanego śniegu sięgały już 2 m. W wieczór sylwestrowy zasypało nas dokumentnie. W ciemnościach i zawiei, przy mrozie sięgającym 40°, przenosiliśmy namioty na skraj szczeliny, w objęcia wiatru.

Do 6 stycznia 1985 opady śniegu i huraganowe wiatry uniemożliwiały działalność powyżej „dwójki”. Dopiero następnego dnia Czok i Kukuczka wynieśli depozyt na wysokość 6800 m. Znów nastąpiło załamanie pogody i obóz III ustawili dopiero 12 stycznia Baranek i Kuraś. Dwa dni później Czok i Kukuczka założyli na lodowym stoku, na wysokości 7400 m obóz IV. Nazajutrz próbowali atakować szczyt, jednak bez powodzenia. Z wysokości ok. 7900 m wycofali się do obozu III. 16 stycznia Skorek i Machnik podeszli do „czwórki” z zamiarem przeniesienia jej wyżej i ponowienia ataku. Załamanie pogody zmusiło ich do odwrotu do obozu II. W czasie zejścia Machnik odmroził palce u rąk.

DLACZEGO ZNÓW ZACZĄŁEM PALIĆ?

W dniu 19 stycznia Czok, Kukuczka i Kuraś wyszli z „dwójki” w górę. Wobec zasypiania przez lawinę obozu III, dotarli od ra-



Andrzej Czok na szczycie Dhaulagiri

Fot. Jerzy Kukuczka

zu do „czwórki”. Rano następnego dnia, w czasie ubierania, zostali przysypani lawiną, która na szczęście ześliznęła się po ścianie dobrze ustawionego namiotu, zgniatając go tylko częściowo. W momencie uderzenia Mirek zaparł się o dach plecami, Andrzej zaś podparł ścianę nogami. Podczas odkopywania namiotu i jego wyposażenia odmroził palce u rąk Mirek, Andrzej, pozbawiony ostony, nie mógł wciągnąć uszkodzonych overbootów. Po spakowaniu całego sprzętu Czok i Kukuczka przenieśli obóz na wysokość 7600 m, Kuraś zaś wrócił do dwójki.

W dniu 21 stycznia Czok i Kukuczka opuścili obóz IV o godzinie 6 rano. Tym razem nie było już niespodzianek przy wyjściu i Andrzej mógł nałożyć swe overbooty. Widoczność była dobra, ale wicher — gospodarz tych wysokości — uderzył w nich natychmiast z całą furją. Poła głębokiego śniegu skutecznie hamowały tempo wspinaczki. Niby połąga grań osiągnęli stromym żłebem. Okazała się ona wcale niełatwa. Tkwiące w niej turnie wymagały bądź obejścia, bądź bezpośredniej wspinaczki. Tymczasem nadciągnęły chmury i zaczął sypać śnieg. Czuli już bliskość szczytu i ciągnęli w jego kierunku, jak dwie maszyny. Wiatr jakby zelżał, co zdarza się często przy opadzie. Wreszcie z zadyłki wyłonił się mały tonkinowy traser z kolorową wstążką, tkwiący w śnieżnym garbie. To był szczyt. Tylko kwadrans wytrzymali na wierzchołku, w krótkich przejaśnieniach robiąc zdjęcia. Zabrali z sobą traser.

Było już w pół do czwartej i noc wyprzedziła zmęczonych ludzi. W ciągle sypiącym śniegu nie trafili na żleb sprowadzający z grani. Biwak wypadł na wysokości ok. 7800 m. Był straszny. Czok miał już palce u stóp nadmrożone przy przenoszeniu namiotu bez overbootów. Noc nie chciała się skończyć. Ocaliły ich goretexy i silna wola przetrwania. O godzinie 9 rano dotarli do „czwórki”, gdzie odpoczywali zbyt długo, bo aż do godziny 15. Znów zaskoczyła ich wczesna styczniowa noc. W zawiei i ciemności pogubili się. Czok dotarł do obozu II dopiero o godzinie 22. Naprzeciw niego wyszedł Kuraś i sprowadził go do namiotu.

Kukuczka spędził drugą noc bez sprzętu pod gołym niebem i do „dwójki” dotarł o 9 rano.

W bazie wysuniętej ruszyła w tym czasie akcja likwidacyjna. A ja siedziałem w kuchni pod czaszą spodochronu i gryziłem radio-telefon. W dniu 21 stycznia powróciłem do porzuconego przed 25 laty palenia. O 15.30 chłopcy dali znać, że byli na szczycie o 14.30 i schodzą. Nie wiedziałem, że Andrzejowi pod wpływem mrozu przesunął się zegarek i że zeszli ze szczytu nie godzinę, lecz 5 minut temu. Mieli dać znak życia po powrocie do „czwórki”. I dali, ale o 9 rano! U nas w bazie wysuniętej szalał w nocy huragan. Znowu nie wiedziałem, że pod szczytem pada śnieg i wiatr jest stosunkowo słaby. Cóż mogłem więc zrobić, poza pić herbaty i paleniem, aby nie oszaleć?

POWRÓT O SZERPAŃSKIEJ TSAMPIE

26 stycznia cały zespół, z wyjątkiem Jurka, zszedł do bazy. Andrzej Czok w bazie wysuniętej zapakował do plecaka wszystkie srebreczynki i radiotelefony. Miał dobre 25 kilo i z tym rozpoczął marsz na kaleskach nogach. Towarzyszył mu lekarz, również obciążony jak wielbłąd. Ładunek od staniającego się zwyczajnie przejął po drodze Sonelski, który wraz ze Skorkiem i Kubowiczem wyszedł z bazy. W depozycie czekało na zniesienie kilkadziesiąt kilogramów.

W bazie wysuniętej został nas czwórka: Baranek, Kuraś, Kukuczka i ja. Jurek wyruszył samotnie przez Przełęcz Francuzów do Tukucha, by jak najrychlej dołączyć do wyprawy na Cho Oyu. Na przełęcz darł dwa dni w śniegu po piersi.

Pozostała trójka stanęła wobec 150 kg bagażu. Z bazy wzywali nas rozpaczliwie do wzięcia resztek żywności, bo została im już tylko kora na drzewach. Narodziły się dylematy: 4 konserwy czy śpiwór? Ostatecznie wybraliśmy sprzęt. Każdy z nas schodził dźwigając 30 kg i ciągnąc dodatkowo na linie 20 kg w plastikowym pojemniku. Znającym lodowiec Myangdi nie muszę tłumaczyć,

jak wyglądało takie zejście, na dodatek po opadach śniegu. Aby było zabawniej, nagle przypomniałem sobie, zapomniane od początku wyprawy, zalecenie lekarskie z kraju: nie wolno ci niczego dźwigać!

Dnia 28 stycznia rozpoczęła się karawana powrotna. Dopiero po 2 dniach dotarliśmy do Boghar, pierwszej wioski, gdzie po zbiórce we wszystkich domach kupiliśmy 2 kg ryżu. Przez te dwa dni karmili nas tragarze, dzieląc się tsampą (mąką z prażonej kukurydzy) i tłuczonym prosem. Czok odbył drogę na plecach Szerpów, częściowo zaś konno. Dzięki wysiłkom lekarza wyprawy, skutki odmrożeń udało się ograniczyć do kołców palców. Machnik miał kilka czarnych palców u rąk. To były całe nasze straty. W dniu 4 lutego dotarliśmy do Pokhary, kończąc działalność tej dramatycznej, upartej i walczącej do końca wyprawy.

Wyprawa dokonała drugiego wejścia zimowego na Dhaulagiri (8167 m) — pierwszego zimą bez użycia tlenu i pierwszego w zimie kalendarzowej, gdyż wejście japońskie w r. 1982 odbyło się 13 grudnia (przy założeniu bazy rejonowej już 1 listopada). Działaliśmy w rejonie o najgorszych warunkach pogodowych, na dodatek podczas zimy, jakiej nie notowano w Nepalu od 27 lat. Na 7 tygodni akcji górskiej, dni względnie pogodnych można się było doliczyć 12. Ekipa działała z bazy wysuniętej, bardzo skromnie wyposażonej, przebywając cały czas w minusowych temperaturach (średnio -20°). Pomimo ostrych warunków nie mieliśmy w zespole poważniejszych chorób. Największe trudności techniczne drogi występowały na trawersie Eigeru (IV/V), wyżej były trudności głównie lodowe.

Summary. Second winter ascent of Dhaulagiri (8167 m), first during calendar winter and first in winter without supplementary oxygen. Base Camp on December 4, 1984 at 3700 m, ABC on December 5 at 4600 m, camps on December 15 (5200 m), December 20 (5800 m), January 12 (6900 m) and on January 14, 1985 (7400 m). Summit reached on January 21, 1985 by Andrzej Czok and Jerzy Kukuczka. The 10-member team was organized by the Klub Wysokogórski Gliwice and led by Adam Bilczewski.

Góry w centrum Warszawy

W dniu 5 lutego 1985 w siedzibie PKG na Starym Mieście otwarta została wystawa pt. „Tatry i Himalaje-Karakorum w malarstwie” — zbiór prac młodego artysty i tatarnika, Wojciecha Serafina, syna znanego malarza widoków Krakowa. Autor wypowiada się w kierunku tzw. hiperrealizmu, podchodząc do swych tematów z wiernością niemal fotograficzną. Część płócien przedstawia krajobrazy, część zaś — alpinistów i sceny wspinaczkowe, co stanowi novum w malarstwie górskim ostatniego półwiecza. Pełna komunikatywność obrazów żywo porusza wyobraźnię widza, który stojąc przed płótnem czuje się przeniesiony w serce wysokich gór.

Już podczas zeszłorocznej wystawy malarstwa górskiego w Londynie zauważono, że im bardziej realistyczny jest obraz górski, tym większe zyskuje uznanie. Spośród licznych (i malarsko dobrych!) różnokierunkowych syntez krajobrazowych nie sprzedano tam ani jednej.

Dwa obrazy Wojciecha Serafina reprodukcujemy na stronie 12 i 13.

Polskiemu Klubowi Górskiemu wyrażamy przy okazji głębokie uznanie za stworzenie i prowadzenie promieniującej na całą Warszawę placówki kulturalnej, jaką jest od paru lat jego staromiejska „piwnica”.

J. Wyka



Trzy rekordy na Cho Oyu

Współpraca między Polskim Związkiem Alpinizmu a Fédération Québécoise de la Montagne rozpoczęła się jesienią 1981 r., kiedy na uprzejme zaproszenie Kanadyjczyków PZA wysłał wyżej podpisanego z cyklem odczytów o polskich wejściach na Everest. Wtedy w Kanadzie zrodził się plan wspólnej wyprawy zimowej na K2. Podstawowe jej założenia omówiłem z sekretarzem generalnym FQM, Denisem Gravelem i Jacquesem Olekiem z klubu montrealskiego, który podjął się organizacji wyprawy ze strony kanadyjskiej. Mój powrót z Kanady, zaplanowany rok wcześniej na 13 grudnia, jak również współpracę z Kanadyjczykami opóźniły wydarzenia w kraju. Jednak zimą 1983 r. pojechałem z Jacquesem na pierwszy zimowy rekonensans na lodowiec Baltoro. Pozwolił on zebrać cenne informacje potrzebne do opracowania szczegółowego planu skomplikowanej organizacji, i, niestety, bardzo kosztownej wyprawy na K2 zimą. Tymczasem barierą — jak do tej pory nie pokonaną — okazało się zdobycie zezwolenia na zimową działalność w Karakorum. Na 3 kolejne podania rząd Pakistanu odpowiedział odmownie. W tej sytuacji wspólna wyprawa na K2 odsunęła się w bliżej nieokreśloną przyszłość.

A czas ucieka. Złoty okres zdobywania ośmiotysięczników zimą mobilizuje co ambitniejszych alpinistów. Przecież to niepowtarzalna okazja, wpisać się na historyczną listę pierwszych zdobywców zimą któregoś z 14 najwyższych. Nasi partnerzy z Kanady zgodzili się na zmianę celu. Wiosną 1984 r. wyjechałem do Pakistanu, aby złożyć ponowne podanie o K2, a zaraz stamtąd do Nepalu, żeby wystarać się o zezwolenia jeszcze na najbliższą zimą — jedno dla gliwiczana na Dhaulagiri i drugie dla naszej wyprawy na Cho Oyu.

COŚ Z HISTORII

Historia Cho Oyu nie jest specjalnie długa. Ten ośmiotysięcznik, leżący 28 km na północny zachód od Everestu, ma oficjalnie 2 wysokości. Popularna w światku alpinistycznym wynosi 8153 m, przyjęta przez rząd Nepalu — 8201 m. Odpowiednio do tego

jest więc Cho Oyu ósmym lub szóstym szczytem świata. Uczestnicy wyprawy podzielili się w związku z tym na 3 stronnictwa, oznaczając swoją opcję wyhaftowaną na plecaku wysokością: albo 8153, albo 8201, albo oboma jednocześnie. Pierwszą fotograficzną dokumentację szczytu przywieźli do Europy angielscy alpinisci z wyprawy na Everest w 1921 roku. Szczyt okazał się łatwo dostępny od zachodu, i jak do tej pory latem 6 wypraw weszło na wierzchołek od tej strony. Może z tego powodu przyłgnęła do Cho Oyu opinia, że jest nietrudny. Nie brano pewnie pod uwagę, że ktoś w ogóle może myśleć o południowo-wschodnim urwisku. A jednak aż 8 wypraw przed nami próbowało zmierzyć się z nim. Tylko jednej, w 1978 roku, udało się dojść do szczytu drogą poprowadzoną mniej więcej środkiem wschodniej ściany. Nie było przed nami poważnej próby zdobycia Cho Oyu zimą. Trudno bowiem do takich zaliczyć rozreklamowaną — jak zawsze u Messnera — niemiecko-włoską wyprawę z r. 1982, która swoją działalność przerwała już 19 grudnia.

Organizacja naszej wyprawy przebiegała wyjątkowo sprawnie i szybko. Zezwolenie wpłynęło 6 września 1984 r., a cały bagaż odleciał do Nepalu w ostatnich dniach listopada. Było to oczywiście możliwe dzięki międzynarodowej współpracy. Zgodnie z podpisaną umową, strona kanadyjska pokrywała wszystkie koszty związane z działalnością wyprawy, opłacane w tzw. walucie wymiennalnej (był to termin trudny do wytłumaczenia naszym partnerom). Ponadto koledy zza Oceanu mieli zakupić liny, namioty szturmowe, radio-telefony, baterie słoneczne, 30% żywności i 50% lekarstw. Na naszą głowę spadło zakupienie pozostałej żywności, lekarstw, namiotów bazowych, sprzętu osobistego dla personelu nepalskiego i kompletów puchowych dla Kanadyjczyków. Prócz tego, podjęliśmy się przetransportowania całego bagażu do Nepalu. Najpierw do Polski statkiem m/s „Batory” z Kanady oraz samochodem z Europy zachodniej, potem samolotem do New Delhi, skąd naszym Jelechem do Katmandu. Uczestnicy ze strony polskiej zostali wybrani centralnie. Zarząd PZA postawił jednak ostre warunki: każdy musiał mieć swój własny sprzęt osobisty i wspinaczkowy, a ponadto klub macierzysty musiał wpłacić za niego 350 000 zł. W ten sposób obyło się bez specjalnej dotacji złotówkowej i dewizowej ze strony GKKPIS.

Ostatecznie w skład wyprawy weszli: z Polski — Maciej Berbecka, Eugeniusz Chrobak, Krzysztof Flaczyński (lekarz), Mirosław Gardzielewski, Zygmunt Andrzej Heinrich, Jerzy Kukuczka, Maciej Pawlikowski i Andrzej Zawada (kierownik); z Kanady — Martin Berkman, André Frapier, Jacques Olek (zastępca kierownika) i Yves Téssier (lekarz). W Nepalu dołączyli do nas pan Chhetrapati Shrestha (oficer łącznikowy) oraz wybrany przez niezawodnego Ang Tsheringa z Asian Trekking wspinały zespół pracowników bazy, który wyjątkowo



Stoją od lewej: Gardzielewski, Berbeka, Mohit, Oiek, Flaczyński i Chrobak.

Wszystkie zdjęcia: Andrzej Zawada

przypaść nam do serca: Thukten Sherpa (brat Anga, sirdar), Ang Dawa, Bal Bahadur „Maila” i Mohit Syangbo Lama.

W DRODZE POD NASZĄ GÓRĘ

17 grudnia byliśmy wszyscy w Katmandu i wtedy właśnie Jurek Kukuczka zwrócił się do mnie z zaskakującą prośbą o umożliwienie mu wzięcia udziału w dwóch wyprawach jednocześnie, na Dhaulagiri i na Cho Oyu. Była to interesująca propozycja. Nowy rekord w alpinizmie — 2 ośmiotysięczniki zimą w jednym sezonie. Ale jednocześnie odejście Jurka mocno osłabiało nasz zespół i stwarzało moralny problem przygotowania ciężką pracą pozostałych drogi dla „mistrza”. Zwołałem naradę i po burzliwej dyskusji, kto za, kto przeciw, wyraziłem zgodę na podjęcie tak ryzykownej dla wszystkich próby. Jurek następnego dnia rozpoczął wyścig pod Dhaulagiri, gdzie wyprawa Adama Bilczewskiego, jak wyczytaliśmy w gazetach, założyła już obóz drugi.

Walka o czarterowe loty do Lukli nie przyniosła rezultatu, trzeba było w końcu zdecydować się na Pumy, ciężkie wojskowe helikoptery, dostępne zawsze, ale za to podwójnie drogie (jeden lot 2000 dolarów). Na szczęście o pomniejszenie kosztów starał się skutecznie nasz kanadyjski doktor, Yves Tésier. Wysłany wcześniej do Lukli, zorganizował sprawnie grupy „łebkowiczów” na drogę powrotną. Na wigilię byliśmy wszyscy w Lukli, w tym samym domu i przy podobnej choince, jak na wyprawie everestowskiej. Jedynie Zyga, Genek i André Frapier byli wyżej, prowadząc pierwszą grupę tragarzy do bazy.

Podejście pod południowo-wschodnią ścianę Cho Oyu należy chyba do najkrótszych i najprzyjemniejszych. Początkowo wiedzie trasa znana nam z wypraw na Lhotse i Everest. Wszystko tu dla nas było takie swojskie. W Namche Bazar pełno hotelików i restauracyjek, załoczonych międzynarodowym tłumem. Jedynym zgrzytem w tym sielankowym okresie wyprawy był przygnębiający widok podążających w dół kolejnych odmrożeń uczestników francuskiej wyprawy na Everest. Nie mogliśmy zrozumieć, co się tam dzieje. Przecież sezon zimowy dopiero się rozpoczynał.

W Machermie na przedostatnim etapie karawany spadł duży śnieg, bieląc zielone do tej pory doliny. W ogóle, zima w tym roku zaskoczyła nas swoją odmiennością. Pięć razy podczas wyprawy mieliśmy duże opady śniegu, który utrzymał się już do końca se-

zonu. Wielokrotnie musieliśmy odkopywać łopatami zasypane namioty. Miejsce pod bazę wybrał Andrzej Heinrich w kotlinie Gya-zumpa na wysokości 5200 m, na wzgórku pod moreną. Była blisko wody i dobrze osłonięta od wiatru, lecz nie było widać stamtąd naszej ściany. 30 grudnia stanęły pierwsze namioty, a 2 stycznia 1985 byliśmy w komplecie.

TRZY KILOMETRY ŚCIANY

Akcję górską rozpoczęliśmy 4 stycznia. Tego dnia Berbeka i Pawlikowski założyli obóz I na lodowcu Lungsampa, jeszcze w dużej odległości od ściany. Roztaczał się z niego fascynujący widok na Cho Oyu. Ogrom i stromość południowo-wschodniej ściany wprost hipnotyzowały. Uczucie bojowego podniecenia mieszało się z grozą wywołaną hukiem lawin i widokiem połyskujących lodem, przewieszonych barier seraków. Cała przysła droga widoczna była jak na dłoni — od podstawy aż do szczytu: 2800 m spiętrzonego lodu i skały. Zrozumiałem dopiero wtedy, dlaczego tę ścianę uważano powszechnie za niemożliwą do przejścia. Była piekielnie niebezpieczna. Z całym uznaniem mówiliśmy o Jugosłowianach, którzy jesienią 1984 r. pierwsi zdecydowali się wejść w jej urwiska. Jedyłą szansę bezpiecznego przejścia górnych partii rokował niezbyt wyraźny, lodowo-skalny filar, rozdzielający południową i wschodnią ścianę. Jednak główny problem stanowiły dolne partie, gdyż cała ściana podcięta jest olbrzymim urwiskiem skalnym wysokości ok. 1200 m. Pewną możliwość przejścia dawał tylko z prawej strony tego muru system lodowych żlebów, nazwany przez nas „Y”, tędy też poprowadzili drogę Jugosłowianie.

Już samo podejście z obozu I pod ścianę wymagało technicznej wspinaczki, gdyż prowadziło przez ciągle ruchliwy lodowiec opadający z progu wielkiego plateau pod wschodnią ścianą. Przewieszzone seraki co parę dni waliły się na nasze poręczówki, a przechodzenie pod tymi „kaczuchami” i „okrętami”, jak je pieszczołliwie nazywaliśmy, wymagało silnych nerwów. Te trudności zaraz na początku drogi podzieliły nasz zespół na 2 grupy. Jedna donosiła ofiarnie sprzęt z bazy do obozu I, druga, 6-osobowa, wspinająca się w ścianie. Zaledwie 3 dwójki na taką ścianę w zimie! To cud, że nikt z nas nie zachorował, inaczej nie mielibyśmy żadnych szans na zwycięstwo. Wybierając drogę filarem, liczyliśmy trochę na poręczówki po jugosłowiańskiej próbie. Spotkał nas zawód. W ścianie wisiało zaledwie parę lin, w dodatku tak ponadczasnych kamieniami, że nie mogliśmy się w nie wpiąć.

Trudne były też warunki atmosferyczne. Przeszkadzały śnieżycy, w ścianie nekwały nas lawiny. Średnie temperatury minimalne w bazie wynosiły ok. -25°, maksymalne w cieniu nie sięgały 0°. Najniższy mroz (-33°) zanotowaliśmy w bazie nocą z 15 na 16 lutego, kiedy Heinrich i Kukuczka biwakowali na wysokości 7700 m.

10 stycznia Berbeka i Pawlikowski ruszyli jako pierwsi. Przejście głębokiej, czarnej szczeliny brzeżnej okazało się problemem. Najpierw zjazdami, potem delikatną wspinaczką po zaklinowanych blokach lodowych przedostali się na ścianę. W trudnym eksponowanym terenie rozpięli pierwsze poręczówki i wycofali się do bazy. Słuchając ich relacji nie mieliśmy wątpliwości, że decydujemy się na drogę o alpejskich trudnościach. Obóz II na wysokości 5700 m założyli Gardzielewski i Zawada. Namiot był ustawiony na platformie pod wywieszoną skałą, dobrze zabezpieczony przed lawinami i kamieniami. Była to poczciwa bawełniana „Turnia II”, do której później wracało się z radością z górnych obozów po męczących biwakach w oszronionych superlekkich nylonowych cudakach. Z kolei trzeci zespół — Chrobak i Heinrich — forsował następne metry ściany, zjeżdżając na noc do obozu II. Kiedy zabrakło im lin, zesłali po nie do obozu II i jeszcze tego samego dnia powrócili do „dwójki”. Wszyscy pracowali z najwyższym poświęceniem, a jednak obserwując te zmagania przez lornetkę z lodowca, można się było załamać, tak nikłe były nasze postępy w porównaniu z ogromem ściany.

WALKA O OBÓZ III

Chrobak i Heinrich dotarli pod uskok skalny, nad którym wywieszał się serak, opadający aż z ostrza filara. Dalszą drogę chcieliśmy poprowadzić właśnie tędy. Jak się później okazało, uskok był najtrudniejszym miejscem na całej drodze. Akcję krakowiaków przerwał wypadek Heinricha, gdy spadający kamień uderzył go w nogę. Załamany początkowo, Zygą przeboleł swą chwilową beczynność, kiedy dzięki wypadkowi, los wyznaczył go na partnera Kukuczki w drugim ataku szczytowym. Tymczasem do akcji wkroczyli Berbeka i Pawlikowski. Przez 2 dni do późna poręczowali uskok, zjeżdżając na noc do „Turni” w obozie II. Powoli, szalenie powoli poddawała się nam ściana Cho Oyu. W dodatku opady śniegu, po których nasilały się lawiny w ścianie, opóźniały akcję. Nastąpiło przetasowanie zespołów. Tym razem Chrobak z Gardzielewskim zmie-

W imieniu uczestników wyprawy składam serdeczne podziękowanie Zakładom Sprzętu Technicznego i Turystycznego w Legionowie, a szczególnie dyr. Józefowi Łazarczykowi, za pomoc i terminowe wyposażenie wyprawy w, jak zawsze doskonałe, namioty. Dziękuję również serdecznie Zakładom Odzieżowym „Warmia” w Kętrzynie, za pomoc, z jaką pośpieszyły one wyprawie. Miło mi stwierdzić, że oba zakłady mają swój nie-mały udział w naszym sukcesie na Cho Oyu.

ANDRZEJ ZAWADA

nili zakopiańczyków. Najpierw stracili jeden dzień na wyciąganie poręczówek spod śniegu, a następnego dnia, objuczeni sprzętem na obóz III, weszli wreszcie na lodospady nad uskokiem. Obserwowaliśmy ich z niepokojem przez lornetkę. Robiło się późno. Czy znajdują miejsce na biwak, czy znów wrócą do obozu II? Jednak nie, widzieliśmy jak rozkładali namiot i już po chwili rozmawialiśmy z nimi przez radiotelefon. Byli dobrej myśli: jutro obóz III.

Ale nie udało się. Po całym dniu wspinania dotarli tuż pod ostrze filara, gdzie strome lodowe rynny zagroziły im drogę. Jeszcze jeden biwak w rozstawionym naprędce namiocie. Gardzielewski miał odmrożone rece, nie mieli już liny ani haków. Wrócili do bazy. I znów Maćki w akcji. W finezyjnej wspinaczkę na wymiennych ostrzach grivelowskich „dziabadełek” i przednich zębach raków pokonali lodowe rynny. Byli na filarze! Ale obóz będą mogli przenieść dopiero jutro, 29 stycznia. Staną wreszcie upragniony obóz III na wysokości 6700 m. Czekaliśmy na to od założenia bazy prawie miesiąc. Mieliśmy za sobą co prawda zaledwie 1/3 ściany, ale za to najtrudniejszą. Powiało optymizmem.

W LODOWYCH ORGANACH

Nad obozem III wznosiła się 500-metrowej wysokości lodowa ściana porzeźbiona głębokimi rynnami, przypominającymi organy. Gdzieś w ich górnych partiach miał stanąć obóz IV. Zadaniem kolejnego zespołu — Heinrich i Zawada — było wyniesienie pod

Zespół kanadyjski — od lewej: Martin Berkman, Jacques Olek, André Frapier i Yves Téssier.

Fot. Andrzej Zawada





Maciej Pawlikowski (z lewej) i Maciej Berbeka po powrocie ze szczytu

Organy całego sprzętu biwakowego, potrzebnego na obóz. Wspinając się po poręczach, podziwialiśmy robotę naszych kolegów. Po zdeponowaniu sprzętu przy szczelinie brzeżnej pod Organami na wysokości ok. 7000 m — po 8 dniach akcji — wróciliśmy umęczeni do bazy. Przez radio dowiedzieliśmy się z radością, że Czok i Kukuczka weszli na Dhaulagiri. Teraz tylko, czy Jurek zdąży dojsć do nas, choćby na 6 a nawet 5 dni przed końcem zezwolenia?

Tymczasem w górze działały dwa zespoły. Chrobak i Gardzielewski oraz Berbeka i Pawlikowski. Oba wyruszyły z bazy z nadzieją osiągnięcia szczytu. Dzieliły ich 3 dni różnicy. Chrobak i Gardzielewski rozbili biwak przy szczelinie pod Organami, a następnego dnia rozpoczęli wspinaczkę lodowymi gładziszami. Na noc zjechali na biwak do szczeliny. Rano zdecydowali się zlikwidować biwak i obciążeni sprzętem ruszyli do góry. Śledziliśmy ich uważnie, napięcie rosło. Na szczęście pogoda była cudowna i bezwietrzna. Cały dzień wytrwale wspinali się do góry, ale już widać było, że nie zdążą przed nocą dojsć do seraków, gdzie miał stanąć obóz IV. Zapadał zmierzch, wszyscy byli zdenerwowani. Nagle skręcili w prawo do cudem znalezionej szczeliny i rozbili biwak w niewygodnym, eksponowanym miejscu. Uff, już wolę się sam wspiąć, niż zdzierać nerwy przy lornecie...

Następnego dnia wspinali się wolno, teren był trudny i eksponowany. Doszli do seraków i założyli obóz IV (7200 m). Był 8 lutego, w tym też dniu dotarł do bazy Kukuczka. Maćkowie przeczekiwali dzień w „trójce”. Rano Chrobak i Gardzielewski zdecydowali się na odwrót. Byli zmęczeni, skończyły im się liny. Rozsądek zwyciężył. Z ciężkim sercem schodzili do „dwójki”, a ich miejsce w obozie IV zajęli Berbeka i

Pawlikowski, którzy wynieśli w górę brakujące liny. Tego dnia wyszli z bazy Heinrich i Kukuczka.

10 lutego. Zakopiańczycy poręczowali przez cały dzień filar nad obozem IV, gdzie wrócili na noc. Heinrich z Kukuczką byli w „dwójce”.

11 lutego. Maćki zlikwidowali obóz IV, trzeba było zdecydować się na takie rozwiązanie, choć zdawaliśmy sobie sprawę, co to znaczy dla Heinricha i Kukuczki. Nie miał kto wynieść sprzętu na obóz V — liny były ważniejsze. Zakopiańczycy wolno lecz wytrwale pieli się do góry. Założyli obóz V na wysokości 7500 m. Byli w dobrej formie, jutro będą atakować szczyt! Zawiadomiliśmy o tym ministerstwo w Katmandu. Tegoż dnia Heinrich i Kukuczka po 9 godzinach wspinaczki dotarli do obozu III.

WYŻEJ JUŻ NIE MOŻNA

Był 12 lutego. Pogoda piękna, słychać było tylko z daleka wicherę przewalającą się na graniach Cho Oyu. Po śniadaniu wszyscy z bazy przenieśli się na morenę, wyrwaliśmy sobie nerwowo lornetki. Chrobak filmował, Jacques z podnieceniem dyktował wrażenia do magnetofonu. Dawa i Maila serwowali z termosu gorącą herbatę, nastrój jak na stadionie. A tam w górze dwa małe punkciki wolno przesuwwały się po lodowych polach, skąpanych w słońcu. Byli tuż tuż pod wierzchołkiem. Nagle pierwszy zniknął nam na tle granatowego nieba, za chwilę drugi. Spojrzałem na zegarek: 14.20. Chwyliłem radiotelefon, muszą się lada chwila odezwać. „Halo, czy słyszycie?” — rozległ się chrypliwy głos, głooszony wicherą. „Czy jesteście na szczycie?” — „Nie wiem, nie wiem, ale wyżej już nie można!” Co za radość, taka droga i w dodatku zimą. Dwa rekordy i jeszcze dwa prywatne: pierwszy ośmiotysięcznik Maćka Pawlikowskiego i

Zygmunt A. Heinrich (z lewej) i Jerzy Kukuczka w drodze ze szczytu.



drugi zimą ośmiotysięcznik Maćka Berbeki. Nie mogli ustać na nogach w wichurze. Leżąc przywiązali flagi do czekana, parę zdjęć i odwrót do obozu V, gdzie dotarli około 6 wieczorem.

Ale jeszcze raz czekały nas wielkie emocje i trzeci rekord na tej wyprawie. Heinrich i Kukuczka po 2 nocach spędzonych w obozie III ruszyli rano 13 lutego do obozu IV, odległego w pionie o 900 m. Koło południa minęli się ze schodzącą dwójką szczytową. Zmęczeni, wolno dalej pokonywali wysokość. W pewnym momencie Heinrich odpadł i zawisł wolno na linie. Z najwyższym trudem wypruskiwał do haka. Nadejście nocy zmusiło ich do nieprzewidzianego biwaku — zaledwie, jak się później okazało, 60 m od namiotu obozu V. Po dojeździe do „piątki” odpoczywali tam cały dzień. Następnego dnia opuścili obóz o 7.30. Zyga odczuwał skutki braku aklimatyzacji — był poprzednio tylko na 7000 m — toteż bardzo wolno postąpił się ku szczytowi. Otoczyła ich mgła, widoczność była coraz gorsza. Wreszcie o 17.30 stanęli na szczycie, przy traserach pozostawionych przez Maćków. Był 15 lutego, ostatni dzień okresu objętego zezwoleniem. Kukuczka filmował, zrobił parę zdjęć i rozpoczęli pośpieszny odwrót. Ale wczesna noc złapała ich daleko jeszcze od obozu. Kilka godzin schodzili po ciemku. Wreszcie Kukuczka spadł 5 m ze stromego seraka. Heinrich zjechał do niego i w tym miejscu — na wy-

sokości 7700 m — przeczekali do rana. Po dotarciu do obozu V byli tak wyczerpani, że spędzili tam kolejną noc. I znów niekończące się zjazdy w eksponowanym terenie, robione niemal automatycznie. Heinrich był coraz bardziej osłabiony. Tylko ogromne doświadczenie, opanowanie i wzajemna pomoc pozwoliły tym doskonałym alpinistom wycofać się bezpiecznie ze ściany. Noc w obozie III i jeszcze jedna w „dwójce”. Wreszcie czwartego dnia od zdobycia szczytu późną nocą dotarli do bazy.

Dwa zimowe ośmiotysięczniki Kukuczki w jednym sezonie i jego drugie miejsce w tabeli zdobywców ośmiotysięczników. Ale jak to było dokładnie z tymi emocjami, kiedy Zyga z Jurkiem nie wracali na noc do obozów i jak bawiliśmy się na przyjęciu u Ang Tsheringa — ciekawi dowiedzą się na odczytach z przezroczami, bo w „Taterniku” nie ma miejsca na tak długie opowieści, a cierpliwość redaktora ma też swoje granice.

Aha, jeszcze tylko jedno. Gdyby ktoś mnie spytał, co wspominam najprzyjemniej po wyprawie, odpowiem bez wahania: wspaniałą koleżeńską atmosferę w bazie, w ścianie i przy wigilijnym stole.



PIOTR LUTYŃSKI

Fitz Roy w jedenaście dni

Na przełomie lat 1984—85 Klub Wysokogórski w Krakowie zorganizował wyprawę w Andy Patagońskie. Udział w niej wzięli: Wiesław Burzyński (KWK), Mirosław Dąsal (KAKA), Michał Kochańczyk (KW Trójmiasto), Jacek Kozaczkiwicz (KAKA) i Piotr Lutyński (kierownik — KWK). W. Burzyński przypłynął statkiem wraz z bagażem, natomiast pozostali przylecieli do Buenos Aires samolotem. 21 listopada byliśmy już wszyscy razem, by w dwa dni później odlecieć do Rio Gallegos.

STRACHY NA LACHY

Straszono nas od początku. Już w Buenos Aires miano nas odprawić z kwitkiem, jako że żaden z nas nie posiadał marynarki ani krawata. Potem był Fitz Roy, otoczony wszystkim, co najgorsze. Miały nas przesładować pumy, przy podejściu mieliśmy grzeznąć w bagnach, tubylecy z długimi nożami mieli być nie mniej groźni od pum, zaś ostatecznie dobić nas miały osławione patagońskie wichury. Rzeczywistość okazała się

łaskawsza. Bagna przeszliśmy suchą nogą, wiatry nas dziwnie oszczędzały, chyba wiedząc, że nie jesteśmy zbyt dobrze wyekwipowani, tubylecy zaś byli naszymi najlepszymi przyjaciółmi. Tak dotarliśmy do doliny rzeki Electrico, gdzie 1 grudnia założyliśmy bazę w skałacie żyjącego tam ongiś pustelnika. To miejsce zapadło nam głęboko w serca, a duch świątobliwego męża czuwał nad nami.

Stromym piarzystym stokiem, następnie zaś małym lodowczykiem wchodziliśmy na przełęcz Quadro, położoną na północ od szczytu Guillaumet i obniżaliśmy się na stronę lodowca Fitz Roy Norte. Tam, zaraz pod przełęczą, zbudowaliśmy w zaspie lodowośnieżnej pierwszej grocie lodową, w której ustawiliśmy namiot. Stała się ona punktem pośrednim w drodze pod ścianę. Od groty schodziło się na lodowiec Fitz Roy Norte, który trawersowaliśmy przy skałach, by następnie stromym wiszącym lodowczykiem ruszyć w górę w kierunku naszej ściany. W połowie podejścia wykopaliliśmy drugą grocie lodową, która została również wyposażona w sprzęt biwakowy i żywność. Od niej w ciągu godziny dochodziło się do podstawy ściany.

Nasza droga wieść miała olbrzymim zacięciem liczącym 1200 m wysokości, z lewej ograniczonym filarem Casarotta, z prawej zaś monolitycznym brzuchem skalnym, wyrastającym w środku północnej ściany. Za-



Fitz Roy (3441 m) od północnego zachodu. Polska droga i obozy na dojeściu pod ścianę.

cięcie w dolnej części przechodzi w komin z kilkoma równoległymi do niego rysami. Górna, 800-metrowa część po prawej stronie zbudowana jest z ogromnych litych płyt, dachówkowato na siebie nasuniętych, poprzecinanych paroma równoległymi rysami, podczas gdy stronę lewą tworzą spiętrzenia olbrzymich bloków, miejscami splekanych i sprawiających wrażenie niestabilnych. Ogromny skrót perspektywiczny, w jakim widzieliśmy ścianę, napawał nas optymizmem i budził nadzieję na szybkie uporanie się z problemem. To złudzenie, wynikłe ze stromości ściany, towarzyszyło nam niemal do końca wspinaczki.

NOWĄ DROGĄ NA FITZ ROY

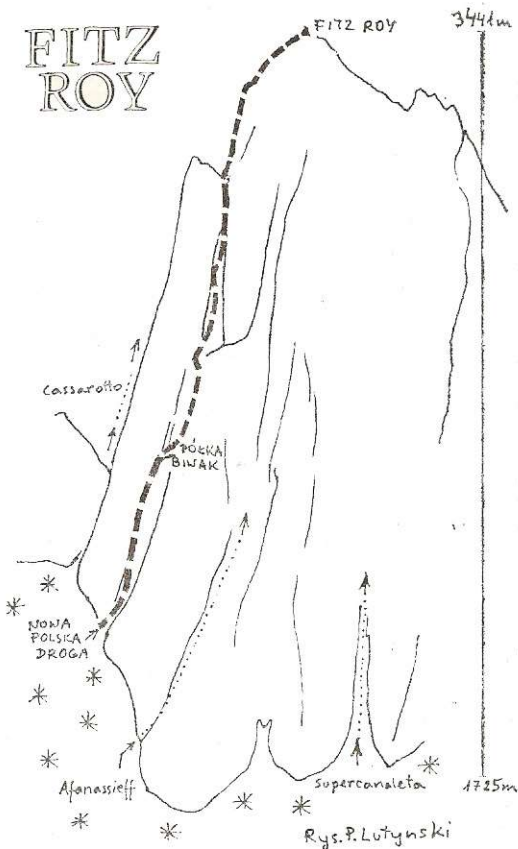
Już wyjeżdżając z Polski byliśmy zdecydowani na poręczowanie ściany, co przy złej pogodzie dawało możliwość szybkiego wycofania się, jak i po jej poprawie — powrotu do uprzednio osiągniętego punktu. Na Fitz Roy chyba wszystkie nowe drogi zostały poprowadzone tą metodą. Pokonanie 400 m dolnej partii północnej (NNW) ściany zajęło nam dni 6, 12, 13 i 14 grudnia 1984. Stopniowo rozpinaliśmy liny. Najpierw były założone rysy i komin, które trzeba było pokonywać w rakach, nierzadko odwołując się do techniki hakowej. Po owych 4 dniach doprowadziły nas one na małą kazalnicekę zawieszoną nad podstawą ściany. Opatuleni w spiwory i płachty biwakowaliśmy na niej, oczekując świtu. Przed nami był wspaniały widok na Łądogłód Patagoński. Przenieśliśmy tu nasz biwak z grotty lodowej, skąd codzienne zjeżdżanie na lodowiec i podchodzenie zajmowało zbyt wiele czasu.

Nad półką biwakową droga nasza wiodła prawą stroną zacięcia — pod ogromny monolityczny filar, tkwiący w środku północnej ściany. Następnie trawersami w lewo dotarliśmy do litych płyt, ograniczających zacięcie. Ten 600-metrowy system dachówkowatych płyt robił wielkie wrażenie. Rysami przecinającymi je wznosiliśmy się coraz to wyżej, rozpinając liny poręczowe i zjeż-

dżając na noc do półki biwakowej na kazalnice. Prowadziliśmy w zespołach dwójkowych, zmieniając się tak, aby w ścianę wchodziła dwójka wypoczęta. Miejscami rysy zmuszały nas do wahań linowych i przerzucania się z jednej do drugiej. W środku wielkiego zacięcia napotkaliśmy przyklejone do jego ścian półko śnieżne, nad którym dalsza droga wiodła w okapach lewego ograniczenia zacięcia, następnie zaś rysami monolitycznych płyt. Równoległe rysy i brak miejsca na zakładanie stanowisk zmuszały nas miejscami do równoczesnego posuwania się, metodą tzw. gasienicy.

Sześć dni (16—22 grudnia) zajęło nam pokonanie zacięcia ponad półką biwakową. Na przełęczy oddzielającej filar Casarotta, jakby przyklepiony do korpusu Fitz Roy, połączyliśmy się z drogą tego znanego solisty włoskiego, poprowadzoną w r. 1979. W kierunku wschodnim opada stąd inne wielkie zacięcie, którym drogę wytyczyli w r. 1983 Jugosłowianie*. Zabiwakowaliśmy na przełęczy.

* Zespół tworzyli Janez Jeglic, Silvio Karo i słynny Franček Knez, którzy wspinali się, nekani niepogoda, od 15 listopada do 8 grudnia (950 m. VI+). Aż, lód 70—90°). Szczytu niestety nie zdołali osiągnąć. (Red.)





Polska droga na Fitz Roy — ściana widziana w dużym skrócie.

Fot. Piotr Lutyński

JESTEM NA SZCZYCIE!

24 grudnia rano — w dzień wigilii Bożego Narodzenia — zupełnie niespodziewanie pojawili się dwaj Amerykanie, Alan Kearney i Bobby Knight, którzy w 4-dniowej wspinaczce dokonali drugiego przejścia drogi Casarotta. Podzieliliśmy się z nimi naszymi skromnymi zapasami i ruszyliśmy w górę. Droga wiodła trudnym terenem skalnym, w którym znajdowaliśmy liczne ślady po Włochu (karabinki, liny). Potem zaczęły się pola śnieżne. O godzinie 15 z otaczającej nas mgły dobiegł radosny okrzyk prowadzącego Jacka Kozackiewicza: „Chłopaki, jestem na szczycie!” Powtarzaliśmy sobie z niewiarą tę trochę abstrakcyjną wiadomość. Szczyt tworzyła grań z kilkoma kamieniami, z których jeden był punktem najwyższym. Otaczające nas dotąd chmury obniżyły się. Pod sobą zobaczyliśmy Cerro Torre i Poincenot. Robiliśmy zdjęcia, na karteczce zapisaliśmy nasze nazwiska i w woreczku foliowym wsuneliśmy je pod kopczyk ułożony z kamieni. Był pod nim emblemat wyprawy szwajcarskiej, były też dwa karabinki, a na jednym znane nam nazwisko „Ghilini”.

Po półtorej godzinie chmury ogarnęły nas ponownie, zrobiło się mroczno i zaczął sypać śnieg. Rozpoczęliśmy zjazd na przełęcz, po drodze spotykając idących do szczytu Amerykanów. O zmierzchu byliśmy na przełęczy, gdzie o godzinie 21 zjedliśmy naszą wieczną wigilijną. Po całonocnym koncercie zło-

żonym z kołęd i kłapania szczęk (z zimna, oczywiście), o świcie wystartowaliśmy do dalszych zjazdów. Zajęły nam one całutki dzień i dopiero w nocy wylądowaliśmy pod ścianą, poniżej szczeliny brzeżnej. Nad nami było roziskrzone gwiazdami niebo. Zrzuciliśmy z ramion plecaki pełne zebranego ze ściany sprzętu i zwinięci w kłębek zasnęliśmy na wydlubanym w dolnej wardze szczeliny brzeżnej stopniu. Był 26 grudnia, godzina 1 w nocy.

Obudził nas dzień pełen słońca, jednak na niebie pojawiły się długie, rozciągnięte na przestrzeni wielu kilometrów cygara chmur, wróżące załamanie pogody. Patrzyliśmy na nie zupełnie obojętnie — już nam nie zagrażały.

*

Pokonana została północna ściana Fitz Roy, nową bardzo trudną drogą (V+, A1), liczącą do przełęczy 33 wyciągi. Podczas wspinania używaliśmy sprzętu metalowego produkcji Chuinarda, Interalp CAMP oraz Simonda, natomiast lin firmy Edelrid. Do gotowania służyły nam wysokociśnieniowe kartusze i maszynki Camping Gaz International. Oczywiście, posługiwaliśmy się też linami i hakami polskimi.

W grudniu 1984 r. panowały w Patagonii zupełnie anomalne warunki pogodowe. Dwutygodniowy okres dobrej pogody — bez silnych wiatrów z zachodu oraz z prawie bezchmurnym niebem (15—29 grudnia) — zdarza się tu wyjątkowo rzadko. Nie zmienia to jednak faktu, że pierwszych kilkaset metrów pokonywaliśmy w bardzo niekorzystnych warunkach — przy silnym zaśnieżeniu i załodzeniu skały, podczas gdy w tym czasie inne zespoły mające chrapkę na Fitz Roya oczekiwały na lepszą okazję... Gdy pogoda się poprawiła, słońce zaczęło wytapiać śnieg pokrywający ścianę i kaskady wody wypełniły kominy i rysy. Razem z wodą zaczęły się staczać lawiny kamienne, co uniemożliwiło wejście na szczyt Szwajcarom i Włochom, a także Messnerowi, podczas gdy my, korzystając z lin poręczowych, mogliśmy pracować w suchej górnej części ściany.

Doświadczeń ze słynnymi patagońskimi wichurami nie mieliśmy zbyt wiele. Ich huraganową siłę poznaliśmy w dniu przyjazdu w rejon Fitz Roya i podczas trwania karawany, a także na początku działalności górskiej. Po zejściu ze szczytu do bazy oraz później przy odjeździe z Hosterii zegnał nas znowu swoim jednostajnym hukiem.

Summary. Fitz Roy (3441 m), new route on the NNW face via the great diedre (groove) between north pillar and the main body of the mountain, December 12 to 24, 1984. 1500 m of vertical rise — 1200 m up to the col. UIAA V+ A1. Personnel: Wiesław Burzyński, Mirosław Daśal, Michał Koczańczyk, Jacek Kozackiewicz and Piotr Lutyński (leader).

Kaukaz zimą 1985

Po udanym zeszłorocznym debiucie, ekipa PZA biorąca udział w zimowym obozie w Kaukazie Centralnym miała duże apetyty wspinaczkowe. Mówiło się głównie o Uszbie i północnej ścianie Czатыn-Tau. Niestety, pierwszą porażkę ponieśliśmy jeszcze przed opuszczeniem kraju: dla dwóch zakwalifikowanych osób zabrakło w PZA pieniędzy i zamiast w zostawkę, w góry pojechalśmy w czteroosobowym zespole: Ryszard Kołakowski (kierownik), Zbigniew Czyżewski, Tomasz Kopyś i Michał Nanowski. Jak skromny był to skład okazało się dopiero na miejscu, kiedy góry zastałyśmy puste i zawałone głębokim śniegiem. Tej zimy w Kaukazie nie działały razem z nami żadne inne grupy alpinistyczne, a po zeszłorocznych wygodnych szlakach w głąb dolin nie pozostało nawet wspomnienie. Trudno też było o informacje o warunkach, mówiono nam tylko, że jest dużo śniegu i związane z tym zagrożenie lawinowe.

Zaczęliśmy od aklimatyzacji na stokach Elbrusa. Niestety, już podczas pierwszego wyjścia powyżej „Priju 11” u Czyżewskiego i Nanowskiego odnowiły się stare odmrożenia. Notowano wtedy temperatury -18°C wewnątrz budynku (!) i -37°C na wysokości Skał Pastuchowa. Podczas gdy Michał i Zbyszek leczyli odmrożenia, my obaj z Tomkiem próbowaliśmy szczęścia w rejonie doliny Adyl-su. Pech jednak przesładował nas nadal. Próba wejścia północną ścianą Ułukary zakończyła się kompletnym fiaskiem. Tracąc 80% sprzętu, cudem zdołaliśmy ująć z zasięgu lawin lodowych. Pozbawieni wyposażenia, wróciliśmy na stoki Elbrusa. Wykorzystując okres dobrej pogody podeszliśmy do „Priju 11” i 3 marca wyruszyliśmy w górę, mając za towarzysza jednego z radzieckich trenerów. Na przełęczy rozdzieliliśmy się: Tomasz Kopyś wszedł na wierzchołek wschodni (5621 m), Ryszard Kołakowski — na zachodni (5633 m).

Kiedy wróciliśmy do hotelu, dowiedzieliśmy się, że nasi koledzy podleczyli już odmrożenia i podjęli trud przetworzenia szlaku przez Lodowiec Szheldyjski pod Pik Szczerowski (4259 m). Po trzydniowej katorżniczej pracy, na Niemieckim Biwaku stanął namiot wypadowy. Wykorzystując go jako punkt wyjścia, Zbigniew Czyżewski i Michał Nanowski przeszli w dniach 6 i 7 marca 1985 północną ścianę Piku Szczerowskiego, lewą drogą Abalakowa (trudności 5B). Na uwagę zasługuje bardzo dobry styl przejścia — zaledwie półtora dnia, następnie zaś sprawne zejście przez zawsze niebezpieczny Lodospad Uszbijski. Było to pierwsze zimowe przejście tej drogi.

Nasz zespół (Ryszard Kołakowski i Tomasz Kopyś) po krótkim wypoczynku powrócił do doliny Adyl-su, zwracając się tym razem ku Baszkarze (4241 m). Do przejścia jej północnej ściany podchodziliśmy trzy razy. Po wstępnym rekonesansie przyjęliśmy pomysł poprowadzenia nowej drogi — w linii spadku głównego wierzchołka przez tzw. kuluar centralny i kontynuując się nad nim system żlebów i zacięć. Według danych radzieckich, nikt tamtędy dotąd nie chodził. Pierwsze dwie próby przerwało załamanie pogody. Dopiero za trzecim razem, już w ostatecznym terminie 14 marca, wbiiliśmy się z determinacją w naszą ścianę.

Korzystając z niezłej pogody, pierwszego dnia przebyliśmy dolną, śnieżno-lodową część drogi i pierwsze 4 wyciągi mikstu. Po niewygodnym półwizującym biwaku, drugiego dnia osiągnęliśmy podszczytową barierę. Warunki lodowe były bardzo dobre. Następny biwak nie był wcale lepszy od pierwszego i tylko zmęczeniu zawdzięczaliśmy parę godzin snu. Trzeciego dnia pogoda zepsuła się definitywnie, ale nie mając innego wyboru, wspinaliśmy się pod prąd lawin pyłowych lewym skrajem monolitycznej bariery, wykorzystując dogodne żleby i zacięcia. O godzinie 13 wyszliśmy wprost na wierzchołek Baszkary. Nie zatrzymaliśmy się na nim dłużej, lecz w pośpiechu zaczęliśmy zjeżdżać wschodnią granią na plateau. Z powodu ciągłych lawin i braku widoczności, zjazdy te stanowiły najbardziej dramatyczną część całego przedsięwzięcia. Złe warunki atmosferyczne kosztowały nas jeszcze jeden biwak na lodowcu Dżantugan, aż wreszcie 17 marca w południe powróciliśmy do hotelu „Azau”. Za nami pozostała piękna i logiczna droga na bardzo poważaną wśród alpinistów radzieckich Baszkarę. Było to pierwsze zimowe wejście na Baszkarę. Całkowita wysokość północnej ściany wynosi ok. 1000-1200 m, z czego na część śnieżno-lodową przypada ok. 700 m zaś na mikstową — 500 m. Trudności drogi oceniamy na V. A0, lód do 80° , klasyfikacja ogólna: 5B. Już po powrocie do Polski dowiedzieliśmy się od Andrzeja Skłodowskiego, że latem 1979 r. wspiął się w tej samej okolicy Cześć czy Słowacy, brak jednak szczegółów ich przejścia („Horolezecké vystupy” z lat 1978-1982 nie zawierają żadnej wzmianki o Baszkarze — Red.).

Podsumowując wyniki wyjazdu należy stwierdzić, że jak na tak małą ekipę są one całkiem dobre. Dokonano dwóch pierwszych zimowych przejść dużych dróg mikstowych, z których jedna jest zapewne nową drogą. Cennym osiągnięciem jest pierwsze w ogóle wejście zimowe na szczyt Baszkary. W naprawdę niełatwych warunkach dokonano polskich wejść zimowych na oba wierzchołki Elbrusa. Podtrzymaliśmy dobry styl działania małymi sprawnymi zespołami w dużych ścianach kaukaskich, bez stosowania obłężeń i poręczowań. Biorąc pod uwagę nasze bogate

już doświadczenia z dwóch zim w Kaukazie, należałoby ten kierunek działania utrzymać i w przyszłości, sugerowałbym jednak wysyłanie nieco liczniejszych grup, minimum 6-8 osób. Zwiększy to możliwości manewrów i ułatwi dotarcie pod wybrane ściany, podniesie też warunki bezpieczeństwa w bezludnych górach.

A. KUROWSKI (BRNO), L. MILCZAREK i J. W. KUBAŃ

O czystości wspinaczki w praktyce

W ostatnich latach na łamach prasy fachowej krajowej i zagranicznej, w dyskusjach na forum klubowym lub rozmowach między kolegami często przewijają się tematy takie, jak podnoszenie wartości wspinaczki sportowej, skala trudności czy też przyszłość bardzo dziś różnorodnej działalności wspinaczkowej. Mimo wielu różnic i rozbieżności, wszyscy dyskutujący są zgodni co do tego, że przyszłość leży w przeżywającej obecnie prawdziwy renesans wspinaczkowej klasycznej.

Artykuł K. Barana i P. Korczaka „Wspinaczka klasyczna w Polsce” jest próbą przedstawienia obecnego stanu wspinania skalnego w naszym kraju. Podsumowanie to jest w pewnym stopniu subiektywne i nie uwzględnia ostatnich dokonań wspinaczkowych na świecie. Głównym jednak zarzutem, jaki można uczynić obu autorom, jest niewątpliwie fakt podnoszenia stylu wspinania do rangi „szkoły”. Deklaracji grupy wspinaczy (z tego czy innego miasta), że jedynie słusznym sposobem wspinania jest np. styl red point nie można przecież nazywać „szkołą”. Wydaje się, iż prędzej już można mówić o warszawskiej „szkole” boulderingu, niż o łódzkiej we wspinaniu skałkowym. Warszawiacy przyjęli pewne założenia ideowe i wypracowali oryginalne metody treningu, co doprowadziło do podniesienia poziomu wspinania na małych formach o co najmniej dwie klasy.

Powróćmy jednak do kwestii „stylu”. Co właściwie należy rozumieć pod pojęciem wspinaczki klasycznej? Teoretycy stwierdzają, że chodzi o wspinaczkę polegającą na korzystaniu wyłącznie z naturalnej rzeźby terenu, sprzęt zaś używany jest tylko do asekuracji. Pomimo ogólnej akceptacji tej definicji, sprawa nie jest taka prosta, istnieją bowiem różne sposoby ułatwiającej klasyczne przechodzenie najtrudniejszych fragmentów dróg. Wprowadzono zatem pojęcie „stylu” wspinaczkowego. Poszczególne style zostały uszeregowane, tworząc coś w rodzaju skali określającej stopień czystości (a zarazem wartość sportową) wspinaczki klasycznej. Pisał o tym w „Taterniku” 1/1979 Andrzej Machnik, przypomnijmy jednak poszczególne punkty z ich dzisiejszą interpretacją:

Winter Climbs in the Caucasus. First winter ascent of the „left” Abalakov route via the north face of the Pik Shchurovskogo (4259 m): Zbigniew Czyżewski and Michał Nanowski, March 6 and 7, 1935 (5B). First winter ascent of the top of the Bashkara (4241 m) by a probably new route (5B) via the north face: Ryszard Kotakowski and Tomasz Kopyś, March 14-17. Winter ascents of both tops of the Elbrus: 5621 m (Tomasz Kopyś) and 5633 m (Ryszard Kotakowski) on March 3, 1985.

Styl TR (top rope, Rotkreuz). Wspinaczka klasyczna z asekuracją z góry, bez możliwości odpoczynienia w linii czy przy punktach asekuracyjnych (PA). Za granicą używana zwykle tylko do treningu i podczas zawodów.

Styl AF (all free, alles frei, tout libre). Podczas wspinaczki lub (i) po odpadnięciu dozwolony jest odpoczynek w punkcie asekuracyjnym. Zezwala się na uprzednie przechodzenie drogi, „patentowanie”, bądź jej wstępna lustrację (previewing).

Styl RK (yo-yo, Rotkreis). Pierwszy krok w kierunku podwyższenia stopnia czystości wspinaczki klasycznej. Nie zezwala się na odpoczynek w punktach asekuracyjnych. W razie odpadnięcia wspinacz kontynuuje wspinaczkę zaczynając od ostatniego „naturalnego miejsca odpoczynku” (miejsca w ścianie, na którym można stać bez pomocy rąk — no hand rest), przy czym lina pozostaje w punktach, w które już jest wpięta.

Styl RP (red point, Rotpunkt), godny polecenia wspinaczom z dużymi ambicjami sportowymi. Od stylu RK różni się tym, że po odpadnięciu lina musi być wyciągnięta ze wszystkich punktów asekuracyjnych umieszczonych ponad „miejscem naturalnego odpoczynku”. Dopuszcza się wstępna lustrację lub wcześniejsze przechodzenie drogi.

Styl OS (on sight). Bliski ideału: wspinaczka na pierwszy rzut oka, sportowo najbardziej wartościowa. Od stylu RP różni się tym, że nie zezwala na wstępna lustrację, uprzednie przechodzenie lub „patentowanie” drogi. Odpadnięcie powoduje, że stopień czystości obniża się do co najwyżej RP.

Poza powyższą tabelą istnieją jeszcze dwa style czy raczej sposoby wspinania:

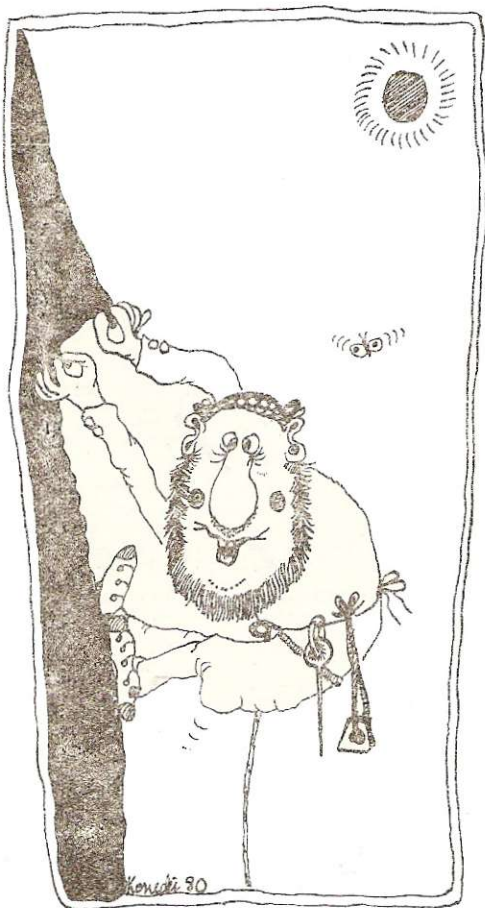
Styl B (bouldering). Wspinaczka klasyczna na małych formach, np. blokach skalnych, stąd nazwa. Odrzuca jakąkolwiek asekurację, zezwala na „patentowanie” i lustrację wstępną.

Styl S (solo climbing). Wspinanie klasyczne bez asekuracji. Dozwolone uprzednie poznanie drogi.

Po objaśnieniu spraw związanych ze stylem, należy zastanowić się nad ich odzwierciedleniem w podstawowych zasadach działalności wspinaczkowej. Wymienione poniżej zasady są dziełem wielu pokoleń alpinistów, wynikiem długoletnich dyskusji i rozważań.

1. **Zasada utrzymania lub doskonalenia stylu osiągniętego w danej grupie górskiej lub skałkowej, bądź też na danej ścianie czy drodze.** Funkcjonowanie tej zasady objaśniamy przykładowo:

a) jeżeli droga x w skałkach została pokonana w stylu RP, to każde następne przejście win-



Z płyt wychodzimy w teren szóstkowy, gdzie możemy odpościć...

- no odbywać się w stylu co najmniej RP lub OS;
- b) jeżeli w Tatrach większość dróg jest pokonywana w zimie bez poręczowania, to poręczowanie jako styl nie powinno tam mieć miejsca;
- c) jeżeli Mount Everest zdobyto drogą X bez użycia tlenu, to każde kolejne wejście tą drogą powinno odbywać się również bez jego stosowania.

2. *Zasada prowadzenia działalności wspinaczkowej przy zachowaniu równowagi między wysiłkiem fizycznym i psychicznym.* W myśl tej zasady przy wspinaczce sportowej nie powinny mieć zastosowania następujące ułatwienia:

- a) asekuracja z góry;
- b) wstępna lustracja lub inna czynność, której celem byłoby uprzednie przygotowanie asekuracji przed zamierzonym wytyczeniem nowej drogi;
- c) osadzanie na drogach wyczynowych stałych punktów asekuracyjnych;
- d) zagęszczanie stałych punktów asekuracyjnych w skałkach.

Jeżeli charakter nowej drogi tego wymaga, niejednokrotnie odstępuje się od tej normy.

3. *Zasada ograniczenia do minimum wszelkich sztucznych środków, nie przyczyniających się bezpośrednio do polepszenia asekuracji.* W swej treści zasada ta niesie przykładowo następujące ograniczenia:

- a) niestosowanie magnezji, kredy, kalafonii itp.
- b) używanie w miarę możliwości haków zamiast nitów, kostek zamiast haków, niczego zamiast kostek.

4. *Zasada respektowania reguł bezpieczeństwa w czasie trwania wspinaczki oraz udzielania pomocy w przypadku zagrożenia zdrowia lub życia ludzkiego.* Zasadzie tej podporządkowane są wszystkie wcześniej wymienione. Niejako na marginesie, narzuca się tu potrzeba prowadzenia szkolenia w zakresie podstawowych zasad ratownictwa górskiego oraz stosowania techniki sztucznych ułatwień.

Przegląd stylów i zasad nie daje jeszcze odpowiedzi na pytanie, jak się wspinąć, aby pozostać w zgodzie z teorią i własnym sumieniem, a przy tym osiągnąć sportowo wartościowe rezultaty? Narzucanie sobie jednego stylu wspinania i sztywne stosowanie jego zasad może doprowadzić do wąskiej specjalizacji. Najbliższym podejściem przy rozwiązywaniu „problemów” wspinaczkowych — zarówno ogólnych, jak i indywidualnych — powinien być taki dobór stylu i takie stosowanie reguł, by przynajmniej czwarta z wyżej sformułowanych zasad była przestrzegana.

Trudno porównywać wspinaczkę w skałkach czy Tatrach ze zdobywaniem ośmiotysięczników, stąd też należy zawsze uwzględnić specyfikę obszaru działania:

Skalki (bez piaskowców): utrzymywać stopień czystości przejścia; nowe drogi wytyczać w jak najwyższym stopniu czystości; technikę sztucznych środków stosować tylko do celów szkoleniowych, wyjątkowo treningu.

Piaskowce: odległości między stanowiskami pokonywać w stylu co najmniej RK — żywa drabina dozwolona tam tylko, gdzie uwzględnia ją opis drogi; utrzymywać osiągnięty stopień czystości; nowe drogi wytyczać w stylu AF w ramach całej drogi i RK pomiędzy „koluchami” (stosowanie żywej drabiny ograniczać do minimum).

Tatry łałem: utrzymywać stopień czystości; przy odhaczaniu stosować co najmniej styl RK; przy wytyczaniu nowych dróg unikać stosowania sztucznych ułatwień; prowadzić w najwyższym stopniu czystości.

Góry do 6000 m (łałem): stylowo lepsze będzie przejście drogi za pierwszym razem, bez wstępnych prób i poręczowania, a nawet zakładania obozów pośrednich; należy utrzymywać tempo i płynność wspinaczki;

trawersowania grani odbywać bez grup wspierających i bez zakładania depozytów żywnościowych; pozostałe punkty — jak dla Tatr.

Góry do 6000 m zimą oraz góry najwyższe: przy wspinaczkach zimowej starać się o osiągnięcie jak najwyższego stopnia czystości, nie przekreślając przy tym możliwości stosowania sztucznych środków w miejscach latem pokonywanych klasycznie; uwzględniać wspomniane wyżej kryteria decydujące o wartości sportowej wspinaczki (płynność, tempo, wybór drogi nie przebytej w zimie itp.); utrzymywać stopień czystości osiągnięty w danej grupie górskiej, np. nie stosować tlenu przy wejściach na wierzchołki zdobyte bez jego użycia, rezygnować z taktyki obłączniczej przy drogach już przebytych stylem alpejskim itp.; wybierać cele możliwe do zrealizowania z zastosowaniem taktyki alpejskiej lub choćby w małych zespołach.

Na tle powyższych rozważań przedstawimy wybór polskich osiągnięć skałkowych:

Styl TR: P. Korczak — Bolechowice, „Chiński Maharadża”, IX

P. Korczak — Prądnik, „Rydwany ognia”, IX
R. Malczyk — Kobyłany, „Ani duży nie powtórz”, IX

L. Wojas — Rzędkowiec, „Dupa Biskupa”, IX
L. Milczarek — Podlesie, „Jagodziały Przy-
pak”, IX

Miejmy nadzieję, że większość tych dróg doczeka się w najbliższym czasie przejść o wyższym stopniu czystości.

Styl B: M. Fabijanowski — Janówek, „Good luck”, J-2

M. Fabijanowski — Janówek, „B-32”, J-2
L. Wojas — Janówek, „Easy rider”, J-2

Styl S: W. Kurtyka — Zakrzówek, „Dolny okap Baby Jagi”, VIII

W. Korczak — Kobyłany, „Rysa zegarmistrzów”, VIII

A. Marcisz — Zakrzówek, „Freny”, VIII
J. Szlenk — Rzędkowiec, „Żyła”, VIII-

Styl RP: P. Korczak — Będkowiec, „Nienasyce-
nie”, IX

ZBIGNIEW PIOTROWICZ

Jak można wracać z Buczynowej

Gwoli informacji (a może i własnej próżności) postanowiłem napisać kilka zdań o naszym przejściu zimowym Komina Pokutników. Przejścia dokonaliśmy 11 stycznia w zespole Michał Zieliński (PGK), Roman Kałuża (SKW) i Zbigniew Piotrowicz (KW Poznań). Komin pokonany został w 13 godzin, licząc od podstawy do siedelka. Łód napotkaliśmy tylko na pierwszym wyciągu, wyżej był już tylko niezwiązany śnieg i nieco śniegu zmrożonego w depresjach. W ciągu dnia dokuczały nam pyłówki schodzące kominem. Zdaję sobie sprawę, że wartość sportowa tej drogi nie jest w dzisiejszych czasach „niebywałego postępu” zbyt wysoka, dlatego chciałbym się skupić na opisie powrotu, który można traktować jako nader pouczającą przygodę.

P. Korczak — Bolechowice, „Okap prawej Sinusoidy”, VIII+

P. Korczak — Podzamcze, „Obadi-obada”, VIII+

T. Opozda — Bolechowice, „Abazy”, VIII+

Powyższe zestawienie może nasunąć nowe pytania: jak ma się wycena trudności dróg skałkowych w Polsce do wycen zagranicznych? Odpowiedź mogą przynieść tylko spotkania ze wspinaczami z innych krajów. Można stwierdzić, że w r. 1984 coś się tu ruszyło — mamy na myśli wizytę wspinaczy brytyjskich w Polsce („Taterniczek” 1/85 s. 35) i nasze wyjazdy w skalne rejony Europy, szczególnie do Saskiej Szwajcarii. Porównanie poziomów wypadło raczej niekorzystnie dla nas. Ma to jednak tę dobrą stronę, że przekonało wielu do systematycznego treningu, bez którego w tej chwili nie ma co marzyć o sukcesach.

Cóż można stwierdzić na zakończenie? Problematyka poruszona wyżej jest szeroka i nie sposób jej wyczerpać w jednym artykule. Zdajemy sobie też sprawę, że nie wszyscy będą się zgadzać z postulatami zawartymi w naszym opracowaniu, zwłaszcza w punktach odnoszących się do gór wysokich, być może wybiegających zbyt daleko w przyszłość. Mamym jednak nadzieję, że przedstawiony materiał da impulsy do nowych przemyśleń i przyczyni się do doskonalenia indywidualnych stylów wspinaczkowych.

LITERATURA

Andrzej Machnik: O wspinaniu klasycznym; „Taternik” 1/79 s. 1-2.

Igor Koller: Czysta leżenie w praxi; „Krásy Slovenska” 9/84 s. 34-37.

Piotr Paćkowski: Kilka propozycji do słowniczka wspinaczki klasycznej; „Taterniczek” 1/85 s. 32-35.

Gdy rano opuszczaliśmy schronisko, warunki były stosunkowo dobre, choć termometr wskazywał -30° i leciutko wiało. Podczas podejścia zaczął sytać drobny śnieg, potem jednak opad ustał. W ciągu dnia temperatura utrzymywała się w granicach -25° . Wczesnym popołudniem znów pojawił się śnieg, tym razem z wiatrem. Opad był na tyle intensywny, że wieczorem zaczęły grozić lawiny. Kiedy ok. 21.30 osiągnęliśmy siedelko, stwierdziliśmy, że wchodzenie na wierzchołek Buczynowej Strażnicy robi się zbyt ryzykowne, wobec czego postanowiliśmy zjechać mniej więcej wzdłuż drogi WHP 208, trzymając się skałek bliżej filara Skłodowskiego.

No i teraz zaczęły się przygody. Podczas pierwszego zjazdu zeszła po naszych grzbie-

tach nieduża, lecz głośna lawina. Na szczęście wszyscy asekurowaliśmy się starannie. W trzecim (ostatnim) zjeździe pod ciężarem drugiego z kolei wyskoczył hak zjazdowy, co skończyło się 40-metrowym lotem przez półka śnieżne i dwa prożki. Świeży śnieg nagromadzony w żlebie u stóp ściany pozwolił na miękkie i bezpieczne lądowanie. Rezultat był jednak taki, że trzeci musiał zejść bez asekuracji.

Wzdłuż ściany obniżyliśmy się do jej dolnego punktu od strony Dolinki Buczynowej. Było około północy. Powrót do schroniska trawersem na próg Doliny Pięciu Stawów uznaliśmy za niebezpieczny i postanowiliśmy wrócić „dołem”, przez Dolinę Roztoki. W nocy i w zadymce śnieżnej nie trafiliśmy, niesfety, w odpowiednie miejsce. Nie wiedząc o tym, zaczęliśmy schodzić wprost na lodospady spływające z progów Dolinki Buczynowej. Skończyło się to kolejnym kilkumetrowym lotem. Na szczęście na progu dolinki znów się związaaliśmy, dzięki czemu uniknęliśmy przykrych konsekwencji. Nie było jednak najlepiej, bowiem partner z dołu komunikował, że spadając zahaczył rakiem o kamień i ma prawdopodobnie zwichniętą nogę. Trzeba było zjechać do niego i zabiwakować w

tych nieszczęsnych lodospadach. Znalazienie wygodnego balkonu na pobliskich skałkach poprawiło nam nieco humory, nie zmieniło jednak faktu, że było bardzo zimno.

Śnieg przestał padać około piątej i widoczność poprawiła się. Jeszcze jeden zjazd, potem brnięcie przez kosodrzewinę, a wreszcie potok. Kilka minut później siedzieliśmy przy budce wyciągu i obserwowaliśmy pierwszych tego dnia turystów.

Wracając z Dolinki Buczynowej do schroniska w Pięciu Stawach tyle samo godzin, ile trwałoby zrobienie Komina Pokutników, to jednocześnie zabawne i niesamowite. Fakt, że warunki w tym czasie uległy gwałtownej zmianie, o czym świadczy seria wypadków w następnych dniach w Polsce i na Słowacji. W tej sytuacji wybór drogi powrotu i taktyka jej pokonania okazały się sprawami bardzo ważnymi. Nie umiem powiedzieć, czy partię tę rozegraliśmy poprawnie, w każdym razie była ona dla nas wszystkich — a nie po raz pierwszy wspinaliśmy się zimą — bardzo dobrą lekcją. Postanowiłem o tym napisać, gdyż nie przypuszczałem, że po kilku latach wspinięcia będę się uczył taternictwa na tym właśnie szlaku.

Sezon zimowy 1984–85 w Śnieżnych Kotłach

Karkonosze to góry najczęściej mgliste, wietrzne, zimą zaś mroźne. Cechą jednak najbardziej charakterystyczną zimą dla tych gór — jakże istotną dla wspinacza — jest występowanie szadzi, czyli zbitiej lodowosronowej masy, oblepiającej ściany Kotłów w zasadzie wszędzie, a w niektórych miejscach, jak np. na Mokrych Ścianach, osiagającej grubość do pół metra.

Historia zimowej eksploracji Śnieżnych Kotłów zaczęła się ok. 1965 r. Początkowo ograniczano się do pokonania żlebów oraz najłatwiejszych dróg. W roku 1976 przebyto direttissime Zęba Rekina. Szczególnie bogaty w wyniki był sezon 1977–78, kiedy to jeleńogórscy wspinacze — na czele z Krzysztofem Czarneckim, Zbigniewem Czyżewskim, Kazimierzem Śmieszko i Aleksandrem Wyszoczańskim — dokonali wielu przejść, m.in. 8 premier zimowych. Najlepszym osiągnięciem następnego sezonu było przejście przez Zbigniewa Czyżewskiego w 8 godzin drogi im. J. Franczuka na Czarcim Murze. Potem miały kolejne zimy, ale nie przyniosły więcej, niż po jednym poważniejszym przejściu.

Sezon 1984–85 w Śnieżnych Kotłach był pod względem aktywności wspinaczkowej znów bardzo udany. W okresie zimy kalendarzowej działało tu kilkanaście osób, głównie ze środowiska jeleniogórskiego. Wspinano się tylko w Wielkim Śnieżnym Kotle. Dokonano 17 pierwszych przejść zimowych, wytyczono 5 nowych dróg. Największą popularnością cieszyły się Mokre Ściany, na których

poprowadzono 2 nowe drogi, a 7 dróg otrzymało pierwsze przejścia zimowe. A oto wykaz ciekawszych dokonań — w porządku chronologicznym:

NOWE DROGI

Grań Studentów — filarem ze Zlebu Mokrego, III A1, 5 godzin: Wojciech Lach i Jan Mieczkowski, 1 III 1985.

Mokre Ściany — prawą częścią północnej ściany, IV A1, 4 godziny: Kazimierz Śmieszko i Władysław Janowski, 9 III 1985.

PIERWSZE PRZEJŚCIA ZIMOWE

Mokre Ściany — czwarte zacięcie: Wojciech Lach, Kazimierz Śmieszko i Władysław Janowski, 22 XII 1984 (5 godzin).

Ząb Rekina — wielkie zacięcie: Marek W. Jamroziński, Tomasz Stachula i Wojciech Wąchała, 23 XII 1984 (8 godzin); Dariusz Lygas i Marek Skop, 23 II 1985 (9 godzin).

Mokre Ściany — droga klasyczna: Kazimierz Śmieszko i Władysław Janowski, 23 XII 1984 (3 godziny 50 minut).

Turnia Popiela — ostrzem prawego filara: Piotr Koszowski i Marek Skop, 26 XII 1984 (5 godzin).

Turnia Popiela — superdirettissima: Marek W. Jamroziński, 27 i 28 XII 1984 (10 godzin); Wojciech Adamczyk i Aleksander Wyszoczański, 29 XII 1984 (6 godzin).

Mokre Ściany — diagonalna i pierwsze zacięcie: Kazimierz Śmieszko i Władysław Janowski, 28 XII 1984 (3 godziny 20 minut i 3 godziny).

Turnia Popiela — Woźnicówka: Tomasz Stachula i Wojciech Wąchała, 28 i 29 XII 1984 (15 godzin).

Ząb Rekina — zachodnia ściana, droga Piecucha i Szczyпки oraz droga Piotrowskiego: Kazimierz Śmieszko i Władysław Janowski, 29 XII 1984 (3 1/2 godziny i 3 godziny).

Mokre Ściany — droga Piecucha i Kmiecia: Piotr Koszowski i Władysław Janowski, 8 II 1985 (3 1/2 godziny).

Mokre Ściany — żyłka i drugie zacięcie: Wojciech Lach i Władysław Janowski, 9 II 1985 (3 godziny i 5 godzin).

Czarci Mur — droga Pietkiewicza i Woźnicy: Wojciech Lach i Władysław Janowski, 10 II 1985 (3 1/2 godziny).

Grań Studentów — diabelski śwąd: Wojciech Lach i Jan Mieczkowski, 27 II 1985 (4 godziny); Dariusz Łygas i Marek Skop, 3 III 1985 (5 godzin).

Czarci Mur — prawą stroną: Kazimierz Smieszko i Władysław Janowski, 10 III 1985 (3 godziny).

Władysław Janowski

KRZYSZTOF DUDZIŃSKI

Reseau des Aiguilles, 1984

W sierpniu 1984 r. odbyła się wyprawa do jaskiń Francji, zorganizowana przez Speleoklub Tatrzański PTTK. W skład ekipy weszli Grzegorz Albrzykowski, Witold Cikowski, Krzysztof Dudziński (kierownik) i Zbigniew Mazuś (kierowca). Celem było przejście jaskini Reseau des Aiguilles (−958, +22 m), znajdującej się w masywie Devouly w Alpach Delfinatu. Jej otwór Chourum des Aiguilles (1995 m) odkrył w r. 1965 pasterz Jean Tourres. W tym też roku rozpoczęła się eksploracja jaskini, z udziałem grotolazów z klubów SC Gap, Catamarans de Montbeliard, SC Salernes i AC Toulon. W r. 1969 został osiągnięty syfon na głębokości −682 m. Równocześnie na głębokości 200 m odkryto galerię wznoszącą się do góry. W wyniku jej eksploracji deniwelacja jaskini wzrosła do 958 m. W najwyższych partiach wykonany został krótki przekop wyprowadzający na powierzchnię — obecny otwór Chourum du Rama (2271 m). Później w równoległym ciągu osiągnięto punkt położony 22 m powyżej tegoż otworu, będący obecnie najwyższym miejscem całego systemu.

Zeszlazoroczna wyprawa nie była pierwszym kontaktem polskich grotolazów z Reseau des Aiguilles. W r. 1983 podczas pobytu we Francji trzech członków Speleoklubu Tatrzańskiego, W. Cikowski, K. Dudziński i S. Kurek oraz Francuz A. Robidou dokonali rekonesansu w jaskini, schodząc na głębokość 860 m.

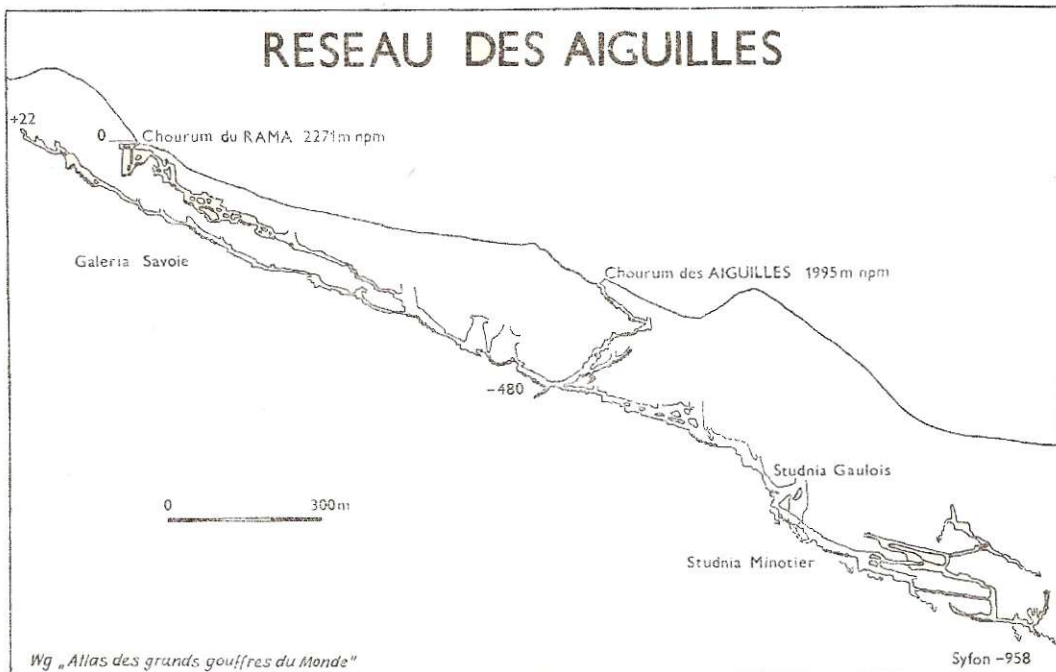
Nasz wyjazd z kraju nastąpił 7 sierpnia 1984 r. W dniu 12 sierpnia dotarliśmy do Col du Festre, bezpośredniego rejonu działania. Baza została założona w Dolinie Aiguilles, na wysokości 1750 m. 16 sierpnia otworem Chourum des Aiguilles weszli Cikowski i Dudziński, którzy po zaporcęzowaniu jaskini do połączenia z ciągiem schodzącym od górnego otworu (Chourum du Rama) powrócili na powierzchnię. W dwa dni później otworem Chourum du Rama weszli Albrzykowski i Dudziński, by po zaporcęzowaniu jaskini do połączenia (−480 m) z równoczesnym uzupełnieniem spitów nad studniami wyjść otworem Chourum des Aiguilles.

20 sierpnia zespół w pełnym składzie (Albrzykowski, Cikowski i Dudziński) po dojściu do połączenia (od otworu dolnego) kontynuował poręcęzowanie w kierunku syfonu,

idąc obejściem meandra Serrano, obszernym co prawda, ale za to bardzo błotnistym. Po dotarciu do syfonu (−682 m) wróciliśmy ściągając liny na odcinku do studni Minotier, gdzie je pozostawiliśmy i już bez obciążenia wyszliśmy na powierzchnię otworem Chourum des Aiguilles. Celem kolejnej akcji było przejście całości jaskini. Z tym zamiarem 23 sierpnia weszliśmy otworem Chourum du Rama ponownie całą trójką. Po 4 godzinach — idąc przez meander Serrano nową drogą (jak się później okazało, szybszą i dogodniejszą) — wszyscy dotarliśmy do syfonu (−958 m). W drodze powrotnej wycofaliśmy sprzęt aż do połączenia. Zamykając całą akcję, ostatni członek zespołu wyszedł otworem Chourum du Rama po 12 godzinach pobytu pod ziemią.

Na powierzchni nastąpiło w tym czasie zalamanie pogody, a w bazie zastaliśmy zniszczony przez wiatr namiot kuchenny. Wzbierająca wskutek deszczu rzeczka groziła zalaniem pozostałych namiotów. 26 sierpnia pogoda poprawiła się na tyle, że znów całym zespołem mogliśmy wejść do jaskini dolnym otworem i idąc w kierunku górnego ściągnąć oporcęzowanie i wykonać dokumentację fotograficzną. Następnego dnia Albrzykowski i Cikowski weszli otworem Chourum des Aiguilles, by zlikwidować poręcęzówki w ciągu do połączenia i wynieść liny pozostawione tam podczas poprzednich akcji.

Wynikiem wyprawy jest pierwsze polskie przejście Reseau des Aiguilles, zajmującej 18 pozycję na liście najgłębszych jaskiń świata. Poczynione zostały obserwacje mające znaczenie dla jej dalszego pogłębiania. Partie przy syfonie, jak i sam syfon, wydają się być dobrze poznane, pogłębianie jaskini może więc być trudne lub nawet niemożliwe. Większe możliwości eksploracyjne istnieją pomiędzy Chourum du Rama a połączeniem. Wskazują na to liczne kominy i okna w stropach sal i korytarzy, eksplorowane częściowo lub nie badane w ogóle. Podstawową przeszkodą jest brak dokumentacji i informacji na temat obecnego stanu eksploracji. Problem zwiększenia deniwelacji w górę jest o tyle interesujący, że wystarczy dorzucić jedynie 20 m, by jaskinia przekroczyła magiczną granicę 1000 m.



Podkreślić warto, że cel wyprawy został w całości zrealizowany przez zaledwie 3-osobowy zespół. Skuteczna działalność w tak zminimalizowanym składzie była możliwa dzięki wysokiemu poziomowi sportowemu uczestników oraz zastosowaniu specjalnej taktyki. Wszystkie akcje odbywały się w cyklu dobowym (ranne wejścia i powroty najpóźniej około północy), aby uniknąć obniżenia sprawności działalnością nocną i wykorzystać organizm w okresie jego największej efektywności psychofizycznej. Do oporęczowania studni i progów techniką pojedynczej liny użyte zostały w dużym stopniu liny czeskosłowackie 7 i 8 mm. Używaliśmy plakietek

typu AS i Clown, nie wymagających stosowania karabinków i bardzo lekkich (35-40 g, podczas gdy tradycyjna plakietka z karabinkiem waży ok. 90 g). Zastosowanie cienkich lin i plakietek nowego typu pozwoliło na zredukowanie wagi i objętościowe sprzętu, co przy tak małym zespole miało znaczny wpływ na styl i czas akcji.

Sądzę, że tego typu małe wyprawy, prężne i operatywne, a jednocześnie niezbyt kosztowne, mogą być sposobem na prowadzenie działalności za granicą w sytuacji ciągłych trudności z zaproszeniami i wzrastających kosztów imprez.

Nowe sensacje alpejskie

W Alpach, obok normalnego toku powtórzeń dróg, pierwszych przejść i — rzadszych już — uklasycznień, utrzymuje się tendencja do wyczynów nastawionych na szokowanie alpinistycznego świata (por. T. 1/83 s. 32). Oto trzy przykłady z minionej zimy.

Znany nam już młody Francuz, Christophe Profit, przeszedł 1 marca w niespełna 10 godzin północną ścianę Elgeru — samotnie i w niezbyt dobrych warunkach. Ponieważ przy swych poprzednich wyczynach był krytykowany za nadmiar posunięć „organizacyjnych”, podkreśla w reportażach, że tym razem nie korzystał nawet z pomocy helikoptera. Czas letnich przejść solowych północnej ściany leży już poniżej 5 godzin. Nie mniej (i z lepszej strony) znany Włoch, Renato Casarotto, przeszedł — po 6 próbach — w dniach 6-9 marca drogę Gervasuttiego na 750-metrowej wschodniej ścianie Grandes Jorasses. Jest to pierwsze samotne i pierwsze zimą w czystym stylu przejście tej

wyjątkowo trudnej i rzadko powtarzanej drogi. Jak nas informuje Tadeusz Wowkonowicz, sensacją kwietnia była w Chamonix łańcuchówka Erica Escoffiera. W dniu 29 IV krótko po północy wszedł on w Pilar Croza na Grandes Jorasses. Drogę pokonał szybko i odpoczął 3 1/2 godziny na grani. W tym czasie helikopter przytransportował mu lotnię, na której Eric zleciał z kolegą do stóp Filara Walkera. O 14.30 wszedł w tę słynną 1200-metrową drogę. Po 6 1/2 godzinach był już nad trudnościami i przed północą osiągnął szczyt Grandes Jorasses.

Należy pamiętać, że wyczyny te są dokonywane przez „profis”, a przy tym starannie przygotowywane i ćwiczone, o czym nota bene w opisach się milczy, chodzi bowiem nie o sportową czystość, lecz o efekty reklamowe, przynoszące sławę — i pieniądze.

Józef Nyka

Co nowego w Tatrach

TATERNICKIE LATO 1984

Letnia działalność w Tatrach ma od dłuższego już czasu charakter głównie szkoleniowo-treningowy bądź rekreacyjny. Uderza stosunkowo niska jej intensywność. Stwierdza się stały spadek liczby przebytych dróg, szczególnie dłuższych i trudniejszych. Tak np. filar Mieguszowieckiego Szczytu przebyło w r. 1984 zaledwie 12 zespołów, podczas gdy w 1983 było ich 21; na Kazalnicy dokonano w tym samym okresie 111 przejść, zaś rok wcześniej — 158. W przeliczeniu na osoby prowadzące działalność taternicką (ok. 700) wypada średnio 6-7 przejść na głowę. Zdecydowana większość wspinaczy prowadzi działalność o charakterze rekreacyjnym, a tylko 10-15% treningową. Stopień intensywności działania jest bardzo zróżnicowany lokalnie (od 1-2 do kilkudziesięciu przejść poszczególnych dróg). Tak np. w r. 1984 ok. 50% ogólnej liczby przejść miało miejsce w 4 tylko masywach: Kościelców — 455, Mnicha i Mniszka — 317, Granatów — 281 i Zamarłej Turni — 260. Kolejnych 20% sumy odnotowanych przejść przypada na Zabiego Mnicha z Zabłą Lalką (162), Kozł Wierch (114), Swinięc (114), Kazalnicy i Kocioł Kazalnicy (112), Mieguszowiecki Szczyt Wielki (103) i Grań Apostołów (73).

Jest sprawą oczywistą, że nadmierna koncentracja ruchu taternickiego nie może się nie odbić negatywnie na środowisku przyrodniczym poszczególnych rejonów. Różne przejawy „erozji taternickiej” od paru lat obserwujemy w otoczeniu Kościelców, Mnicha, Granatów i Zamarłej Turni. Komisja Tatrzńska widzi możliwość zapobieżenia pogłębianiu się tych szkód poprzez:

- 1) niezaliczanie do wykazów przejść wymaganych do uzyskania kolejnych stopni taternickich wspinaczek dokonywanych na Kościelcach, Mnichu, Granatach, Zamarłej Turni i Zabim Mnichu;
- 2) maksymalne ograniczenie w działalności COS przejść na Kościelcach i Granatach, z przesunięciem ich w otoczenie Dolinki Buczynowej a także (w oparciu o „Szalasiśka”) w wybrane rejonu Doliny Rybiego Potoku.

Niepokojać zjawiskiem jest koncentrowanie się zainteresowań licznej rzeszy taterników na krótkich wspinaczkach w rejonie Morskiego Oka (na Zabim Szczycie Niskim, Szpigalsowym Wierchu, Zadnim Mnichu, Ciemnosmreczyńskich Turniach) przy braku jakiegokolwiek działalności na długich drogach w tej samej okolicy oraz trudniejszych drogach w otoczeniu Doliny Gąsienicowej. Rzadko widuje się taterników np. na Zabłej Turni Mieguszowieckiej, a w rejonie Hali — na północnej ścianie Koziego Wierchu. Niemal całkiem w zapomnienie poszły dłuższe wspinaczki granicowe w obrębie Polskich Tatr Wysokich.

Działalność taternicka nie ujęta w „Książkach Wyjść” szacowana jest na 5-3% sumy wspinaczek odnotowanych. Prowadzą ją w zasadzie wyłącznie osoby nie będące członkami organizacji zrzeszonych w PZA. Liczba członków zrzeszonych, którzy w lecie 1984 naruszyli przepisy TPN w Tatrach Wysokich, wynosiła 17, co stanowi ok. 0,3% ogółu odnotowanych w „Książkach Wyjść”. Naruszenie przepisów we wszystkich przypadkach stwierdzane było przez koordynatorów PZA do spraw bezpieczeństwa oraz członków Komisji Tatrzńskiej. W sezonie letnim 1984 miał w Tatrach Polskich miejsce 1 śmiertelny wypadek taternicki, 9 innych połączonych było z poważniejszymi obrażeniami ciała. Szerzej o tej sprawie Komisja wypowiedziała się na łamach „Gościńca”.

Koszty związane z uprawianiem taternictwa w porównaniu z rokiem poprzednim wzrosły o dalsze 15-20%. Dotyczy to szczególnie kosztów utrzymania w schroniskach PTTK. Jeśli chodzi o sprzęt stwierdzić trzeba, że z wyjątkiem nielicz-

nych elementów jest on dostępny tylko za dewizy. Komisja przewiduje dalszy wzrost kosztów działalności taternickiej (przejazdy, żywność, noclegi w schroniskach, ekwipunek itp.), a co za tym idzie postępującą eliminację z naszego sportu grup słabszych ekonomicznie, np. studentów. Trwający od kilku lat spadek liczby osób wspinających się w Tatrach pokazuje tabelka.

Rejon	1984		1983		1982	
	zesp.	osób	zesp.	osób	zesp.	osób
Morskie Oko	1083	2329	1843	3907	2308	4985
Pięć Stawów	414	876	465	1208	506	1164
Gąsienicowa (w tym COS)	1031	2829	824	2432	1100	3595
Razem	2528	6034	3132	7547	3914	9744

Z analizy działalności w ubiegłorocznym sezonie letnim wynikają następujące wnioski:

- 1) istnieje pilna konieczność przeciwdziałania ujemnym skutkom wywieranym przez taterników na środowisko naturalne Tatr;

- 2) należy zaktywizować szkolenie w ramach kursów i obozów doskonalących, eliminując z niego wszelkie osoby przypadkowe (dla osób pragnących uzyskać uprawnienia do prowadzenia prac wysokościowych kursy winny być organizowane poza Tatrami);

- 3) po zakończeniu sezonu letniego Komisja Szkoleniowa winna weryfikować stopień „taternika kandydata”, przyznawane co roku ok. 70 osobom;

- 4) alarmująca jest sytuacja w zakresie zaopatrzenia w sprzęt, również w aspekcie jego jakości; szczególnie ostro odczuwa się brak lin, kaspek i karabinków;

W działalności taternickiej coraz silniej zaznacza się wpływ kryzysu ekonomicznego — brak pieniędzy na pokrycie kosztów szkolenia i pobytu w górach, trudności ze zdobyciem odpowiedniej żywności itp.; kluby i sekcje powinny co rychlej przenieść bodaj część zainteresowania z wyjazdów zagranicznych i wypraw na działalność tatrzńską.

Zbigniew Skoczylas
Komisja do Spraw Tatrzńskich

OBOZOWISKA PZA LATEM 1983

Oba obozowiska PZA, Rábanisko i Szalasiśka, czynne są tego lata od 1 lipca do 30 września. Odpłatność wynosi 30 zł od osoby za każdy dzień pobytu i 65 zł za podest za 1 dzień. Opłata meldunkowa: 10 zł. Użytkownicy korzystają bezpłatnie z gazu do gotowania, środków higieny, lekarstw itp. Wszystkie miejsca zostały przydzielone klubom i opłacone przez nie z góry, wiadomo jednak, że część z nich nie będzie wykorzystana. Miejsca wolne wynajmowane są taternikom zgłaszającym się indywidualnie, mającym wymagane uprawnienia. I tak na Szalasiśkach nie są indywidualnie meldowane osoby, które stopień kandydata uzyskały w sezonie 1984/85, choć mogą one uczestniczyć w lokowanych na tymże obozowisku obozach treningowo-szkoleniowych klubów. Z Rábaniska korzystać mogą również członkowie rodzin (z dziećmi od lat 3). Przy meldunku należy przedłożyć dowód osobisty, ważną legitymację klubową, kartę taternika i aktualną kartę zdrowia sportowca. Obozowisko na Szalasiśkach czynne było także zimą 1984/85, jednakże jego wykorzystanie było znikome.

Ruch skałkowy

WARSZAWIACY W KRASIE MORAWSKIM

W dniach 24-27 maja 1985 r. Krzysztof Janiszewski, Wojciech Kubań i Leszek Milczarek odwiedzili rejon skał nieopodal Brna. W czasie krótkiego pobytu dokonano kilku wartościowych przejść. Na skałce „Koni” cała trójka przeszła w stylu OS drogę „Policjanci” (VI A0, II i III przejście klasyczne), zaś na ścianie Macochy — drogę Piśka (V A0, II przejście klasyczne w stylu RK). Na skałce „Indie” drogą Weissa „Kolaps” (VII-) pokonał w stylu RP Milczarek, na „Hrebenacu” zaś droga Konečného „Uno vino piccolo” (VII) w stylu RK przeszli Milczarek i Kubań (II przejście klasyczne). Warto nadmienić, iż Z. Konečný uważany jest obecnie za najlepszego wspinacza Krasu Morawskiego, zaś jego droga „Janzen”, której nie powtórzył nawet Hudeček, zaliczona została do „wystupov roka 1984”.

O CZYSTE SKAŁKI

W dniu 21 kwietnia 1985 Komisja Skałkowa PZA omawiała problemy związane z ochroną środowiska skalnego Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Utrzymanie czystości i akcje sprzątania w Skałkach Rzędkowskich powierzono środowisku gliwicko-katowickiemu. Skałki Podiesickie od Przełęczy w kierunku góry Zborów (m.in. skała Blocheńska, góra Zborów, Wielbłąd, Młynarz, Sadek i poniżej Sadku) wzięli pod opiekę wspinacze z Łodzi. Natomiast skałkami od Przełęczy w kierunku Jarzębinki (Okręt, Kajak, Dziewica, Tawerna, Leśna Turnia) ma się opiekować środowisko warszawskie. W Skałkach Krakowskich od paru lat o porządek dbają sami krakowianie.

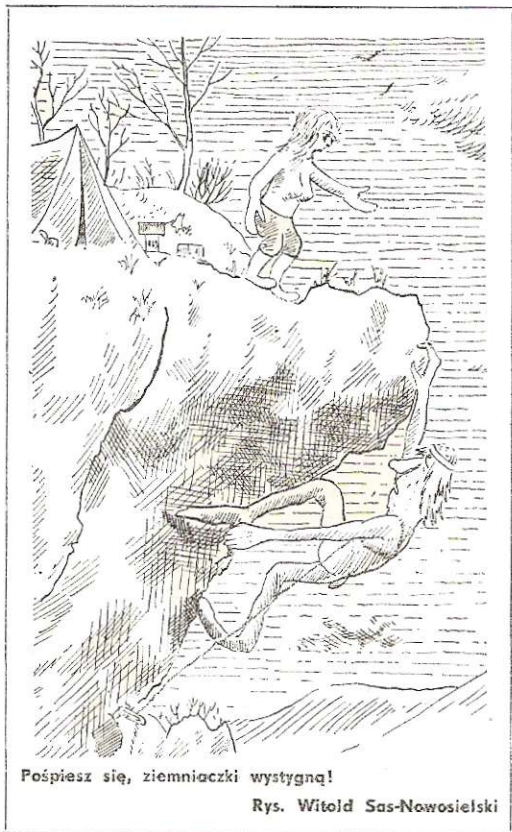
ZGODNIE Z POROZUMIENIEM

Zarząd Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych w Katowicach zwraca uwagę, że porozumienie w sprawie udostępnienia niektórych skał do uprawiania wspinaczki, zawarte między Zespołem a zarządem PZA, jest systematycznie łamane przez wspinaczy. Kontrole przeprowadzane w terenie wykazały, iż członkowie klubów wspinają się wszędzie, gdzie tylko są skały, przy czym posługują się różnego rodzaju sprzętem, łącznie z hakami. Większość wspinających się nie zna treści wspomnianego wyżej porozumienia (chodzi m.in. o kluby z województw katowickiego, bielskiego, krakowskiego i łódzkiego). Po wspinaczkach i biwakowaniu teren pozostaje nieuporządkowany a strażnicy znajdują nieokopane ogniska, śmieci, butelki itp.

Łącznikiem pomiędzy Zespołem a klubami śląskimi i PZA jest kol. Ignacy Walenty Nendza.

WZDŁUŻ PIONOWYCH RZEK

Włoch Franco Perlotto (28) jest specjalistą od oryginalnych wspinaczek. W r. 1984 pokonał on ścianę skalną, z której spada najwyższy wodospad świata, Salto Angel (960 m), zaś w dniach 29-31 stycznia 1985 — 650-metrowy uskok wodospadu Kukenam (Mataui Tepui), również w Wenezueli. Wspinaczka w „pionowej dżungli” i mokrych mechach nastęrczała nietypowe trudności. Ponieważ ściana w górze przewieszca się, wodospad spada w przepaść jednym rzutem. W górnej części partner: Franca, Charles King, zaliczył 15-metrowy lot, cudem tylko utrzymany. Wspinaczka kończy się na krawędzi wielkiej wierzchołki. Trudności drogi oceniono na VI+ A3, w jednym miejscu trzeba było posłużyć się nitami. Franco, radykalny wyznawca free climbing, wbił go po raz pierwszy w



Pośpiesz się, ziemniaczki wystygną!

Rys. Witold Sas-Nowosielski

życiu. W skład małej wyprawy wchodził też zespół filmowy. Reportaże z przejścia zamieściły „Alp” 1/1985 i „Lo Scaipone” 8/1985.

CZESI SIĘ WSPINAJĄ

Rok 1984 był dla naszych południowych sąsiadów kolejnym udanym rokiem skałkowym, przede wszystkim w piaskowcach. Na czoło osiągnąć wysuwa się przejście przez Tomasa Cadę w dniu 20 października drogi „Fegefeuer” na Wilde Zinne w grupie Affensteine w Saskiej Szwajcarii. Droga ta (Xa, UIAA VIII+ do IX-) została poprowadzona w r. 1983 przez Berndy Arnolda. Tomasz Cada przeszedł ją jako pierwszy w stylu RP, a zrobiona w ten sposób została oceniona na Xb (IX do IX+). Bracia Miehál i Miroslav Coubalowie wytyczyli w dniu 14 października nową drogę na wschodniej ścianie Żelaznych wóz w Czeskim Raju. Drogę należy zaliczyć do najtrudniejszych obecnie w czeskich piaskowcach — według Petra Cermáka, który ją powtórzył, przewyższa ona trudnościami znaną drogę „Krev, pot a slzy” na Sloupie. W dniu 3 października Jindřich Hudeček poprowadził nową drogę na północnej ścianie Dompfeller w Affensteine, rozwiązując problem wiele razy atakowany przez renomowanych wspinaczy z NRD i RFN. Trudności drogi oceniono na Xa (VIII+ do IX- UIAA).

Jeśli chodzi o działalność Czechów w innych zagranicznych skałkach, najwyżżej oceniane jest przejście drogi „Mission Impossible” (IX w skali UIAA) w rejonie Verdon we Francji, dokonane przez Tomasa Cadę i Petera Cermáka w stylu RK. Z wcześniejszych dokonań ciągle jeszcze wysoko się ceni „Separate Reality” w Yosemite (w skali amerykańskiej 5.12b), którą w r. 1983 pokonał Jindřich Hudeček i Zdeněk Weingartl.

Władysław Janowski

Wyprawy w góry egzotyczne

ZAGRANICZNA DZIAŁALNOŚĆ SPORTOWA 1984

W r. 1984 zrealizowanych zostało przez PZA oraz kluby 27 wypraw. Trzy z nich miały charakter centralny, 22 zorganizowały kluby, w 2 wzięły udział także „kadry PZA”. W Himalajach i Karakorum wyjechało 13 wypraw, w góry Ameryki 7. Siedem wypraw skierowało się na szczyty przekraczające 8000 m, jedna z nich miała skład kobiecy. Limit dewizowy przyznano 7 wyprawom w łącznej kwocie 7156 dolarów.

W górach niższych, w 4 zgrupowaniach PZA udział wzięły 24 osoby. Międzyklubowe zgrupowanie w Chamonix liczyło 18 uczestników, 37 taterników przeszło przez 2 zgrupowania kwalifikacyjne w Tatrach Słowackich, 4 osoby reprezentowały nasz kraj na międzynarodowych turniejach skalowych. Kluby zorganizowały 18 obozów w Alpach - z udziałem 158 osób. Najwięcej obozów było w rejonie Mont Blanc (8, 85 uczestników) i w Dolomitach (6, 53 uczestników). Jeśli chodzi o wyniki sportowe w górach typu alpejskiego, najwyższe ocenie trzeba przejścia zimowe dokonane w Kaukazie (T. 2/84 s. 65). Wyjątkowo bogaty był natomiast nasz rok wyprawowy. Co najmniej 6 osiągnąć zakwalifikować trzeba jako wyniki na poziomie światowym:

Pierwsze zimowe wejście na *Manaslu* — T. 2/84 s. 56.

Pierwsze trawersowanie trzech wierzchołków *Broad Peak* (Jerzy Kukuczka i Wojciech Kurtyka, 13-18 lipca 1984).

Pierwsze jednodniowe wejście na szczyt 3-ty-sieczny — Krzysztof Wielicki na *Broad Peaku* (T. 2/84 s. 60).

Nowa droga na *Manaslu* — od strony lodowca Pungen: KW Wrocław z udziałem kadry PZA (na szczycie Aleksander Lwów i Krzysztof Wielicki, 20 października).

Nowa droga na *Yalung Kang*, centralnym filarem południowej ściany: KW Poznań z udziałem kadry PZA (na szczycie Tadeusz Karolczak i Wojciech Wróć 7 października oraz Leszek Cichy i Przemysław Piasecki 10 października).

Nowa droga na *Fitz Roy*, lewą stroną ściany północno-zachodniej — szczegóły w bieżącym numerze.

Jak łatwo zauważyć, najlepsze wyniki osiągnęły wyprawy wytypowane przez Komisję Sportową PZA do przydziału limitu dewizowego oraz te, których składy zostały wzmocnione członkami „kadr PZA”. Jednocześnie zwraca uwagę fakt, że istnieje duża rozpiętość jakościowa między czołowymi przedsięwzięciami, a znaczną liczbą wypraw kierujących się na cele łatwe lub mających charakter rekonesansów. Międzynarodowej klasy sukcesom nie towarzyszy odpowiednia liczba osiągnięć wyprawowych klasy średniej. Wydaje się, iż kluby podejmują zbyt wiele przedsięwzięć mało ambitnych — nawet nie w skali światowej, ale polskiej. Prowadzi to do rozpraszania sił ludzkich i środków materialnych, które z większym pożytkiem mogłyby być wykorzystane do zorganizowania dwóch lub trzech silnych wypraw — na cele o znaczącej wartości sportowej.

W odróżnieniu od gór najwyższych, w górach typu alpejskiego nasza działalność charakteryzowała się na ogół wynikami znacznie odbiegającymi od europejskiej czołówki, a uwaga ta odnosi się do kilku już ostatnich sezonów. Wytworzyła się wyraźna luka między wspinaczami należącymi do ekstraklasy światowej, którzy całkowicie poświęcają się wyprawom, a liczną rzeszą mniej wyprawnych, którzy ze strony czołówki nie otrzymują żadnego wsparcia szkoleniowego. Ważnym wyjątkiem była tu działalność centralnego zgrupowania zimowego na Kaukazie, które przyniosło naprawdę liczące się osiągnięcia.

Analiza przebiegu i wyników działalności sportowej w r. 1984 nasuwa pewne wnioski ogólniejszej natury:

1) Należy kontynuować organizowanie tak owocnych małych wypraw (2-4 osoby) na trudne cele w Himalajach i Karakorum. Pozytywne wyniki dają zasilanie ambitniejszych ekip klubowych osobami z „kadr PZA”. I ta praktyka winna być utrzymana, przynajmniej przy 4-5 imprezach w ciągu roku.

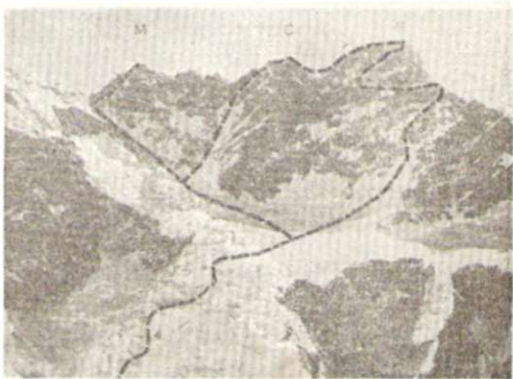
2) Przy dotowaniu wypraw z funduszu dewizowego PZA należy dążyć do koncentrowania środków dla wypraw realizujących cele zgodne z listą preferencyjną Związku.

3) Kluby i sekcje winny rozważyć możliwość zmniejszenia liczby wypraw na rzecz podniesienia ich poziomu sportowego. Organizowane przedsięwzięcia winny w swych planach uwzględniać aktualne tendencje panujące w alpinizmie światowym. Wyprawy o charakterze zapoznawczym i szkoleniowym należałyby przygotowywać poza kalendarzem imprez PZA.

4) Wskazane byłoby rozbudzenie w klubach zainteresowania działalnością wyczynową w górach typu alpejskiego, zwłaszcza zimą oraz wprowadzenie środków zachęcających czołówkę wspinaczkową do udziału w imprezach alpejskich.

5) Wiele do życzenia pozostawia poziom dyscypliny formalno-organizacyjnej (zmiany terminów, celów, składów wypraw itp.), utrudniającej pracę i tak przeciążonemu Biuru PZA i innym jego agendum. Należy tu żądać od klubów i kierowników zdecydowanej poprawy, zaś od odpowiedzialnych kół PZA — konsekwencji w przestrzeganiu przyjętych zasad.

Komisja Sportowa PZA



KANGCHENDZONGA 1984

Rok 1984 przyniósł w Himalajach i Karakorum kilka wielkich trawersowań (w tym polskie *Broad Peaku*). Pierwszym była próba przejścia przez 4 szczyty Kangchendzonga, podjęta przez wielką (33 osób) wyprawę japońską. W dniu 14 kwietnia 1984 Wielkiej Połce założono oboz III (7200 m), który stał się jakby wysoka baza wysunięta. W drodze do wierzchołka południowego założono obozy 7300 i 8300 m. Szlak prowadził w linii próby polskiej na grani południowej, okazała się ona jednak zbyt trudna i alpinści musieli wykonać trawers do drogi polskiej, 18 maja z obozu V wyruszyli Toichiro Mitani, Tsuneo Shigehiro, Seishi Wada i Nima Temba, by po 50 minutach stanąć na wierzchołku południowym (ok. 8300 m, II wejście). Dzień wcześniej, idąc polską drogą, wierzchołek środkowy osiągnęli Gota Isono, Takashi Ohtani i Nawang Yonden (ok. 8490 m, II wejście), którzy

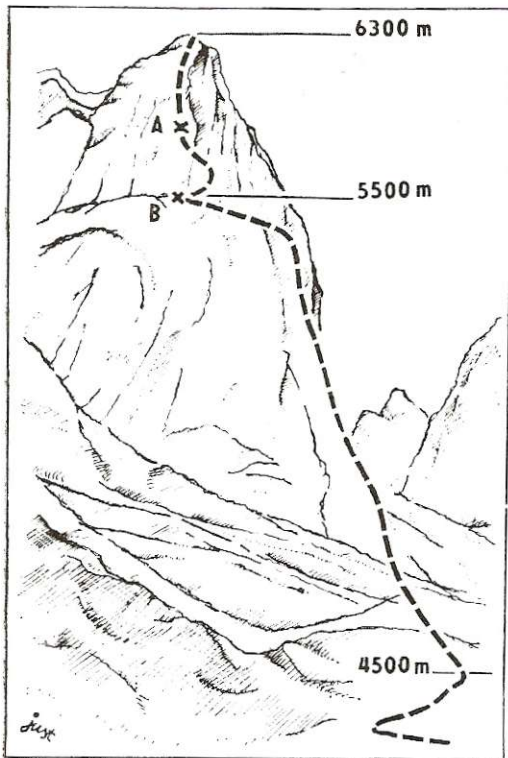
uprzednio założyli obozy 7850 i 8300 m. Z zespołu trawersującego wycofał się Nima Temba. Pozostała trójka po 9 godzinach przeszła z wierzchołka południowego na środkowy. Po noclegu w obozie Va (w kuluarze) próbowali iść wprost na szczyt główny, ale teren okazał się zbyt trudny. Zeszli więc w kierunku Wielkiej Półki, a następnie przetrawersowali do obozu Vb (8250 m) na drodze normalnej. Tego dnia główny szczyt drogą normalną osiągnęli Takashi Ozaki i Ang Tsering (8598 m, XVI wejście). 20 maja na szczyt ten weszli również Mitani i Wada. Zachodni wierzchołek (Yalung Kang, ok. 8450 m) nie był już atakowany, gdyż siły wyprawy zostały wyczerpane. Wyprawa odniosła ładny sukces, choć trawersowanie zostało przeprowadzone w sposób daleko odbiegający od ideału. Jeden z uczestników zleciał na lotni z wysokości 7800 do 5100 m.

Zbigniew Kowalewski

W KARAKORUM – Z MAGNEZJA

Norweskie wejście na Wielką Turnię Trango nie zostało zauważone przez zachodnie pisma alpinistyczne, a przecież chodzi o najtrudniejszą chyba technicznie drogę, jaką dotąd udało się pokonać w Karakorum. Zespół tworzyli Stein P. Aasheim, Hans Christian Doseth, Finn Daehli i Dag Kolsrud. Południowo-wschodnia ściana ma 1500 m wysokości i tworzy dwa uskoki: 1000-metrowy dolny i — zupełnie pionowy — 500-metrowy górny. Wspinaczkę rozpoczęto 16 lipca 1984 r. — bez uprzednich przygotowań. Potężny 200-kilogramowy bagaż zawierał m.in. żywność na 25 dni, 350 m lin, 100 karabinków i — worek magnezji! Prowadziła zawsze jedna dwójka, podczas gdy druga podciągała w górę wiszący biwak. Pierwszego dnia udało się pokonać 300 m, wnet jednak ściana stanęła dęba i dzienny „urobek” wynosił mniej, niż 100 m. Górny uskok tworzył lity blok granitowy, niemal cał-

Rys. Justyna Nyka



kiem pozbawiony szczelin. Drogę znaczący teraz sznurki nitów, a tempo spadło do 40-50 m na dzień. Piętnastego dnia wspinaczki wobec kurczenia się zapasów żywności w górę poszli już tylko Doseth i Daehli, dwaj pozostali wrócili zjazdami do bazy.

W dniu 4 sierpnia obu szturmowców obserwowano z bazy przez lornetkę. O 5 po południu Doseth stał na wierzchołku Great Trango Tower. Aasheim opuścił następnego dnia bazę, by wrócić do kraju. Na lotnisku zatrzymał go telegram: Doseth i Daehli nie wrócili ze szczytu. Po długich poszukiwaniach helikopterowych dostrzeżono ciała, nie można było jednak do nich dotrzeć. Ustalono, że spadli 500-700 m, być może wskutek błędnej manipulacji przy zjeździe.

Piękny wyczyn — trzytygodniowa wspinaczka non stop — zakończył się więc tragedią, w której Norwegia straciła swych dwóch czołowych wspinaczy. Doseth, partner Polaków na filarze Thalay Sagar (T. 2/83 s. 68) i ekspert od wielkich dróg w rejonie Romsdalen, śmiało mógł być zaliczany do największych wspinaczy w Europie. Na rysunku oznaczono punkt (A), z którego zawrócili Aasheim i Kolsrud oraz miejsce (B), gdzie ostatni raz widziano zjeżdżającą dwójkę szczytową.

Arne J.W. Kolsto

ANNAPURNA 1984

Jednym z najciekawszych osiągnięć minionego roku w Himalajach było trawersowanie masywu Annapurny. Długa wschodnią grań tego szczytu bez skutku atakowali Niemcy w r. 1969 i Szwedzi w 1981. Jesienią 1984 w Południowym Sanktuarium bazę rozbiła wyprawa szwajcarska. Zespół tworzyli Frank Tschirky (kierownik), Bruno Durrer (lekarz), Erhard Loretan, Fritz Hobi, Norbert Joos i Ueli Bühler, Obóz III stanął 2 października poniżej wierzchołka Glacier Dome (7193 m). W 4 dni później, po pokonaniu Roc Noir (7485 m), Joos i Loretan wykopali jamę śnieżną (obóz IV, 7500 m). Nastąpiło teraz długotrwałe załamanie pogody. Dopiero 22 października ta sama dwójka ponownie dotarła do obozu IV. Następnego dnia pokonała grań i po przetrawersowaniu wschodniego wierzchołka (8010 m, II wejście) zabiwakowała w jamie śnieżnej. 24 października Joos i Loretan stanęli na wierzchołku środkowym (IV wejście, 8051 m) a o godz. 13.30 osiągnęli wierzchołek główny (8091 m, XII wejście). Schodzili północną flanką, drogą holenderską, biwakując jeszcze dwa razy (6800 i 5100 m). Warto zwrócić uwagę na śmiały i nowoczesny styl przejścia. Erhard Loretan (25) ma na swoim koncie wejścia na 6 ośmiotysięczników (nie licząc wierzchołków bocznych), niskich jednak i nietrudnych.

Zbigniew Kowalewski

UKA W GÓRACH SKALISTYCH

Na początku sierpnia 1982, po wielu trudnych momentach, Dariusz Jastrzębski, Wiesław Krajewski, Paweł Krasucki, Mariusz Koras (kierownik), Artur Sobolewski i Krystyna Stańkowska-Koras wylądowali w Montrealu. Po spotkaniu z kolegami z Mc Gill University, współorganizatorami wyjazdu, wyruszyliśmy na zachód, w dzwiczki dla nas rejon Bugaboo w Górach Purcella, leżący ok. 300 km na zachód od Calgary.

Rejon ten, odkryty w latach 1857-60 przez wyprawę Pallisera i nazwany od imienia sponsora wyprawy, Goodwina Purcella, wabił najpierw górników i poszukiwaczy przygód, a dopiero później wspinaczy, którzy zawitali tu po raz pierwszy ok. 1910 r. W r. 1916 przewodnik Conrad Kain zrobił z towarzyszami North Howser Spire i południową grań Bugaboo Spire, którą uznano za najtrudniejszą drogę w Kanadzie. Później doszły drogi na Crescent Spire (r. 1933), North Post, East Post i Brenta Spire (1938-39). Iglica Snowpatch Spire została zdobyta w r. 1940 przez Arnolda i Bedayna. W latach pięćdziesiątych Fred Beckey, Ed Cooper i Layton Kor wspięli się ścianami Snowpatch, Bugaboo i Pigeon Spire. W r. 1965 Chouinard przetrawersował wierzchołki Howsers, a



Widok w kierunku północnym w Crescent Spire

Fot. Wiesław Krajewski

Jones zdobył 600-metrową zachodnią ścianę Howser Spire. Drogi te, wytyczone z wielką liczbą haków i nitów, dziś są przechodzone klasycznie. W ostatnich latach czołowi wspinacze amerykańscy i kanadyjscy poprowadzili wiele dużych dróg o trudnościach 5.10–5.12, z których niejedną porównać można z najtrudniejszymi drogami w Yosemite w USA.

Nasza siódemka, bo dotaczył do nas Tomasz Kaczyński, kolega klubowy studiujący w Kanadzie, dotarła w „Purcells” w połowie sierpnia. Działalność nasza, przerywana tygodniowym zalanianiem pogody, nie przyniosła niestety spodziewanych „pięć-dwunastek”, powtórzyliśmy natomiast większość klasycznych dróg w rejonie. Na drogach ekstremalnych nasze próby nie zakończyły się na wierzchołkach. A oto wykaz wejść dokonanych przez uczestników wyjazdu:

Snowpatch Spire (3063 m) — południowo-wschodnią granią: Krystyna Stańkowska-Koras i Mariusz

Koras oraz Wiesław Krajewski i Paweł Krasucki, ok. 15 wyciągów, trudności 5.7, zejście zjazdami zachodnią ścianą; Dariusz Jastrzębski i Artur Sobolewski, ok. 8 wyciągów, 5.10, zjazdy tą samą drogą; północną rysą (próba): Jastrzębski i Sobolewski, 3 wyciągi, 5.12.

Bugaboo Spire (3176 m) — południową granią, wariant przez ryse: Mariusz i Krystyna Korasowie oraz Wiesław Krajewski, 5.8, powrót zjazdami drogą wejścia; kantonem północno-wschodniego filara: Dariusz Jastrzębski i Artur Sobolewski oraz Tomasz Kaczyński i Paweł Krasucki, 10 wyciągów, 5.8–5.9, zejście zjazdami granią południowo-zachodnią; środkiem wschodniej ściany (próba): Krajewski i Koras, 5 wyciągów, 5.10–5.11.

Crescent Spire (2843 m) — lewym zacięciem południowej ściany: Dariusz Jastrzębski i Artur Sobolewski, 4 wyciągi, 5.11.

Wiesław Krajewski

Jaskinie i speleologia

NOWE JASKINIE W HIMALAJACH

W marcu 1985 r. w Nepalu działało czworo członków Speleoklubu Morskiego PTTK w Gdyni (Bogna Grunwald, Janusz Lisiecki, Stanisław Miśkowiec — kierownik i Christian Parma). Prowadzili oni penetrację speleologiczną doliny Modi Khola, lewego dopływu Kali Gandhaki — plonem jest skartowanie 10 jaskiń o łącznej długości 963 m. Największa wśród nich, Alope Guffa (Jaskinia Ponorowa), została odkryta i pomierzona w dniach 14 i 15 marca. Leży ona w pobliżu wsi Kuje Bisaua, kilka kilometrów na południowy wschód od Kusmy, w lewym zboczu Modi Khola. Stanowi ją ciąg obszernych korytarzy i komór o niezwykle bogatej szacie naciekowej. Dnem płynie spory potok, tworzący jeziora i kilkumetrowej wysokości wodospady. Łączna długość poznanych i skartowanych korytarzy w Alope Guffa wynosi 491 m, a ze swą deniwelacją między otworami, wynoszącą 63 m, stała się ona najgłębszą z dotąd poznanych jaskiń w Himalajach Nepalskich. W trakcie wyjazdu skartowano ponadto m.in. jaskinie Gupteswary Guffa (148 m) w Kusmie, Bhoome Guffa (121 m) we wsi Pang koło Kusmy i Thonro Baraha (88 m) w Potlikhet.

Aktualna lista nepalskich jaskiń o długości przekraczającej 100 m przedstawia się następująco (w

punktach 3 i 6 chodzi o wartości wyraźnie przeszacowane):

1. Patale Chhango (Harpan River Cave) w rejonie Pokhary — 2959 m, —48 m;
2. Alope Guffa — 491 m, —63 m;
3. Western Powerstation Guffa (Pokhara) — 293 m;
4. Mahendra Guffa (Pokhara) — 242 m;
5. Chakhubha Guffa (Katmandu) — 200 m (?);
6. Eastern Powerstation Guffa (Pokhara) — 170 m;
7. Gupteswary Guffa (Kusma) — 148 m;
8. Bhoome Guffa (Bhoon Guffa) — 121 m.

Dodać trzeba, że w odróżnieniu od penetracji powierzchniowej, stopień poznania podziemnego świata Himalajów jest, jak dotąd, fragmentaryczny. Zainteresowanie nim ze strony speleologów wzrasta jednak i chyba już najbliższe lata przyniosą tu pozytywne zmiany.

Christian Parma

MIĘTUSIA ZNÓW DŁUŻSZA

Od 1 do 10 lutego 1985 członkowie Speleoklubu Warszawskiego PTTK kontynuowali pod kierownictwem niżej podpisanego porządkowanie Jaskini Miętusiej (por. T. 1/84 s. 47). Przy okazji prac sprawdzono kilka problemów eksploracyjnych, u-



Sala Błotnych Lejków w Jaskini Miętusiej
 Fot. Jerzy Milka

zyskując w rezultacie przedłużenie jaskini o nieco ponad 200 m (aktualna długość: 9270 m). Eksplorowano na ogół partie o znacznych trudnościach, wśród których wymienić trzeba zwłaszcza 2 kominy: w Korytarzu Trzech Króli (V+ do VI-, A1) i w Wielkim Korytarzu przed Lejącą Wodą (IV+, miejsce V+, A1). Oba niestety zakończyły się ślepo: pierwszy na wysokości 53,5 m (wspinali się w nim J. Bednarek, R.M. Kardaś i P. Wojaś), drugi — na 51 m (R.M. Kardaś i J. Milka oraz J. Bednarek i A. Sadowska). Pozostałe odkrycia miały miejsce w Ciągach Jubileuszowych, Wielkich Kominach i na końcu Korytarza Południowego. Nie jest to bynajmniej koniec możliwości eksploracyjnych w tej pięknej i trudnej jaskini.

Rafał M. Kardaś

TRUDNA AKCJA W JASKINI MIĘTUSIEJ

Skomplikowaną akcję ratunkową przeprowadziła GT GPR w Jaskini Miętusiej w dniach 10 i 11 lutego 1935 r. Podczas zjeżdżania ubezpieczeń przez zespół ze Speleoklubu Warszawskiego (por. wyżej), zjeżdżający z progu skalnego kolega spadł z wysokości 13-14 m, szczęśliwie zatrzymując się na półce nad kolejnym, 28-metrowym progiem. Przyczyną było rozwiązanie się węzła równoległego, łączącego przygotowane do ściągania liny. Poszkodowany oprócz potłuczeń doznał złamania miednicy.

Akcją ratunkową kierował Rafał Mikiewicz, a ekipie ratowników wspomagali członkowie ŚW. Dzięki użyciu helikoptera, lekarz był przy rannym już w 5 1/2 godziny po wypadku. Sam transport, przeprowadzony nowoczesnymi metodami przy użyciu typowego sprzętu jaskiniowego, trwał 9 godzin. Po opuszczeniu rannego do Błotnych Zamków (-123 m) zaczęło się wyciąganie go w górę (błoczek z hamulcem i przeciwwaga na Progu Piaszkowym, skośna „tyrolka” przez Trawers i Kaskady). Najtrudniejszymi miejscami były jednak nie progi, lecz wąskie szczeliny nad Kaskadami i 120-metrowy Ciąsy Korytarzyk, stromo wznoszący się do otworu. Wymagały one wielkiego wysiłku i

zaangażowania ze strony ratowników, w terenie, w którym nie mogli pomóc żadne rozwiązania techniczne. W najcięższym górnym odcinku jedyną możliwością było wyjęcie rannego z worka transportowego i jego aktywne współdziałanie w pokonywaniu zacisków. W dodatku w rejonie otworu zarówno ofierze, jak i ratownikom dawał się już we znaki mróz.

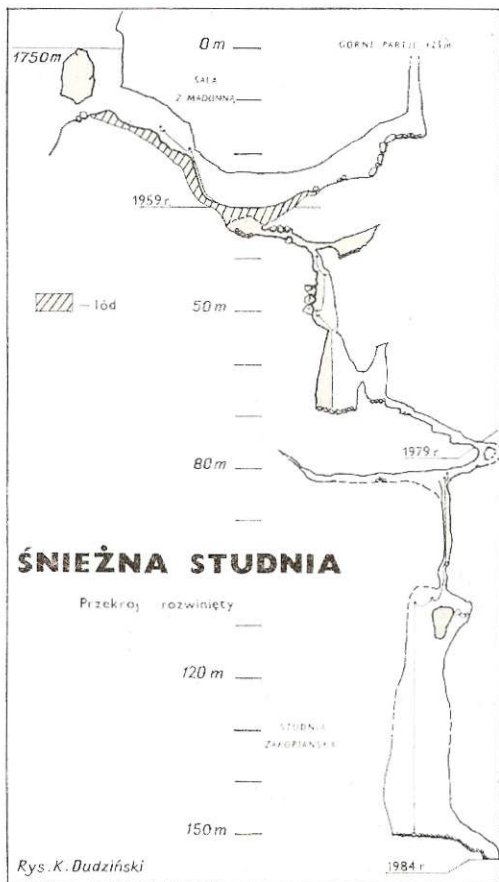
Za sprawne przeprowadzenie tej ciężkiej operacji podziemnej należą się goprowcom słowa wysokiego uznania.

Rafał M. Kardaś

ODKRYCIA W ŚNIEŻNEJ STUDNI

Śnieżna Studnia została odkryta w r. 1959 przez dwoje członków zakopiańskiej STJ KW, Danutę Strelau i Stanisława Wójcika. Odkryte wówczas partie o długości 80 m obejmowały Salę z Madoną i Salę ze Złomami, leżącą poniżej lodowego progu. Kolejnych odkryć dokonali w 20 lat później grotolazi z Akademickiego Klubu Grotolazów z Krakowa pod kierownictwem Andrzeja Kozika. Wykorzystując niski stan lodu, zesłli systemem niewielkich studni do meandra, gdzie przerwali dalszą eksplorację z uwagi na niemożliwe do przejścia zżewienie. Ta sama ekipa dokonała również odkrycia partii wznoszących się w górę ponad poziom otworu. Efektem było powiększenie deniwelacji jaskini do 90 m.

W dniu 15 lipca 1984 r. członkowie Speleoklubu Tatrzńskiego zorganizowali wyprawę szkoleniowo-poznawczą do Śnieżnej Studni, w której udział wzięli Zbigniew Bożurka, Witold Cikowski, Krzysztof Dudziński, Tadeusz Galaś, Roman Ku-



bin (kierownik) i Sławomir Michalik. Po dotarciu do najniższego punktu (zweżenia w meandrze) osiągniętego w r. 1979 i stwierdzeniu istnienia silnego przeciągu, przystąpiliśmy do odgruzowania spągu meandra. Po kilku minutach wejście do dalszej części meandra było otwarte. Meander ciągnął się w kierunku zachodnim na długości 40 m, po czym skończył się niedostępnym zweżeniem. Na pewnym odcinku dno stanowi wąska lecz głęboka szczelina z zaklinowanymi kamieniami i gruzem. Ich wybranie w jednym z szerszych miejsc szczeliny umożliwiło jej rozpoznanie do głębokości 10 m i pozwoliło stwierdzić, że szczelina ciągnie się jeszcze głęboko. Brak sprzętu uniemożliwił kontynuowanie badań tego dnia.

Następna akcja odbyła się 21 lipca 1984 r. Po pokonaniu z użyciem liny ciasnej i oblodzonej szczeliny o łącznej głębokości 20 m, stanęliśmy na moście skalnym nad obszerną 50-metrową studnią, którą nazwaliśmy Zakopiańską. Pełni nadziei na znaczne pogłębienie jaskini, a nawet połączenie jej z systemem Wielkiej Śnieżnej, przeżyliśmy przykre zaskoczenie, gdy poniżej studni dalszą drogę zamknął korytarz całkowicie wypełniony drobnziarnistym żwirzem.

Pomimo takiej „niespodzianki”, deniwelacja jaskini wzrosła z 90 do ok. 180 m, a Śnieżna Studnia wysunęła się na 8 pozycję wśród najgłębszych jaskiń Polski. Do zupełnego zakończenia eksplo-

racji pozostało jeszcze rozwiązanie kilku problemów, w tym zbadanie 2 okien w Studni Zakopiańskiej. One też będą celem następnych akcji w tej interesującej jaskini.

Krzysztof Dudziński

PODZIEMIA NOWEJ GWINEI

Jaskinie Papui-Nowej Gwinei były celem narodowej wyprawy zorganizowanej przez Francuską Federację Speleologiczną. Działała ona w styczniu, lutym i marcu 1985 r. na obszarze Nowej Brytanii, a w jej 12-osobowym składzie oprócz Francuzów znaleźli się też Kanadyjczyk i Polak (Ryszard Knapczyk). W rejonie Mynie eksplorowaliśmy największą studnię krasową świata tej samej nazwy, mającą 380 m głębokości i 26 000 000 m³ kubatury. Udało nam się znaleźć 2 sąsiednie jaskinie (Tevi i Oro), które po połączeniu z Mynie dały system o głębokości 476 m i długości 4,5 km. W rejonie Galove River odkryta została jaskinia Muruk, w której osiągnęliśmy głębokość 637 m — aktualnie rekordową dla całej Nowej Gwinei. Wyprawa odkryła i skartowała 3 jaskinie o łącznej długości 18,5 km. Nowa Gwinea jest jednym z najciekawszych i najsłabiej zbadanych terenów krasowych świata — z możliwością znalezienia jaskiń przekraczających głębokość 1000 m.

Ryszard Knapczyk

Sprawy organizacyjne

INSTRUKTORZY PZA

Lista osób posiadających uprawnienia instruktorskie PZA — według stanu na dzień 30 kwietnia 1985 r. Po nazwisku następuje stopień instruktorski (i. — instruktor, m.i. — młodszy instruktor, st.i. — starszy instruktor), nr legitymacji instruktorskiej i przynależność klubowa. Lista obejmuje 143 nazwiska (w tym 9 par), 38 osób ma stopień instruktora, 67 — młodszego instruktora i 38 — starszego instruktora. Przypominamy, iż tylko osoby objęte niniejszą listą mają prawo prowadzenia szkolenia, w tym także tzw. szkolenia koleżeńskiego.

Andrzejewski Sławomir — m.i., 213, KW Warszawa
 Bąsik Jan — st.i., 22, KW Kraków
 Bała Marian — st.i., 23, KW Kraków
 Baryła Janusz — st.i., 2, KW Kraków
 Bilczewski Adam — st.i., 263, KW Gliwice
 Bilski Jacek — i., 30, KW Zakopane
 Bocheński Stefan — m.i., 84, KW Kraków
 Burzyński Wiesław — m.i., 253, KW Kraków
 Chmielewski Jan — i., 191, KW Lublin
 Chrobak Eugeniusz — st.i., 97, KW Kraków
 Cichy Leszek — m.i., 79, KW Warszawa
 Ciochoń Kazimierz — st.i., 33, KW Kraków
 Cywiński Władysław — st.i., 34, KW Zakopane
 Czabańska Małgorzata — m.i., 260, KW Trójmiasto
 Czabański Edward — st.i., 35, KW Trójmiasto
 Czecko Stefan — m.i., 36, KW Szczecin
 Czepiel Marian — i., 138, Speleoklub Katowice
 Dąsal Mirosław — i., 216, KAKA
 Dowgiało Krzysztof — m.i., 37, KW Trójmiasto
 Drozdowski Grzegorz — m.i., 274, KW Toruń
 Drożdżeński Jan — m.i., 275, KW Lublin
 Dzik Wojciech — st.i., 38, KW Katowice
 Edelman Piotr — m.i., 285, KW Łódź
 Fereński Janusz — i., 39, KW Wrocław
 Fijałkowska Elżbieta — m.i., 87, KW Łódź
 Fijałkowski Jan — m.i., 41, KW Łódź
 Fiut Walenty — m.i., 81, KW Zakopane
 Gajewski Ryszard — m.i., 237, KW Zakopane
 Gawęda Wojciech — m.i., 282, AKA Gdańsk
 Gazicki Maciej — m.i., 98, AKG Łódź
 Gągor Andrzej — i., 241, KW Bielsko-Biała
 Gąsienica-Roj Jan — m.i., 75, KW Zakopane
 Gos Adam — st.i., 9, KW Wrocław
 Goździak Józef — m.i., 224, AKG Łódź
 Hajdukiewicz Jerzy — st.i., 7, KW Zakopane
 Heinrich Zygmunt — st.i., 48, KW Kraków
 Henschke Piotr — m.i., 49, KW Szczecin

Hornowski Emanuel — m.i., 72, KW Łódź
 Ignas Krystian — i., 247, KW Rzeszów
 Jakubowski Zdzisław — st.i., 13, KW Zakopane
 Jankowski Bogdan — st.i., 17, KW Wrocław
 Jargiło Marian — m.i., 201, AKA Wrocław
 Jasiński Jacek — i., 50, KW Kraków
 Jaszczyszyn Jerzy — i., 142, Speleoklub Gliwice
 Jaworski Jacek — st.i., 71, KW Kraków
 Jedliński Wojciech — st.i., 200, KW Łódź
 Kacorzyk Władysław — m.i., 293, KW Gliwice
 Kalmus Marek — i., 21, KW Kraków
 Kalmus Piotr — i., 27, KW Jastrzębie
 Kantyka Jacek — m.i., 276, KW Bielsko-Biała
 Kieńc Zygmunt — st.i., 76, KW Łódź
 Kiszka Kazimierz — m.i., 246, KAKA
 Klos Andrzej — m.i., 266, KW Olsztyn
 Kochańczyk Michał — i., 204, KW Trójmiasto
 Kolakowski Ryszard — m.i., 296, AKA PW
 Kolcon Ireneusz — m.i., 203, KW Kraków
 Kopyś Tomasz — m.i., 294, AKA PW
 Kozicki Marek — st.i., 162, KW Kraków
 Kozik Leszek — m.i., 261, KAKA
 Kozik Marian — i., 252, KAKA
 Kozioł Ryszard — st.i., 1, KW Kraków
 Kozubek Tadeusz — i., 56, KW Gliwice
 Kubica Janusz — st.i., 170, KW Kraków
 Kubis Henryk — m.i., 291, AKA Wrocław
 Kubiś Marek — m.i., 258, AKA Warszawa
 Kukuczka Jerzy — m.i., 59, KW Katowice
 Kulisi Janusz — i., 60, KW Wrocław
 Kulaga Andrzej — i., 244, KAKA
 Kunert Maria — m.i., 195, AKG Łódź
 Kusina Janusz — st.i., 6, KW Kraków
 Kuśmierczyk Stanisław — st.i., 47, KW Kraków
 Lemańska Małgorzata — m.i., 208, KW Łódź
 Lipka Piotr — m.i., 207, AKG Łódź
 Lutyński Piotr — m.i., 210, KW Kraków
 Lwów Aleksander — m.i., 218, KW Wrocław
 Łukaszczyk Stanisław — m.i., 235, KW Zakopane
 Mac Bogdan — i., 203, KW Łódź
 Malczyk Ryszard — m.i., 245, KAKA
 Malinowski Piotr — st.i., 215, KW Zakopane
 Malinowski Władysław — i., 259, KW Warszawa
 Marcisz Andrzej — m.i., 290, KAKA
 Marczak Andrzej — st.i., 66, KW Warszawa
 Masłowski Wojciech — m.i., 217, KAKA
 Matuszczyk Andrzej — st.i., 5, KW Kraków
 Matuszyk Robert — m.i., 173, KW Kraków
 Mazur Teresa — m.i., 251, KW Kraków
 Mazurkiewicz Bogusław — m.i., 289, KW Kraków
 Michalski Jerzy — i., 257, KW Łódź
 Mierzejewska Janina — m.i., 193, KW Warszawa

Mierzejewski Henryk — st.i., 194, KW Warszawa
 Mikiewicz Rafał — m.i., 236, KW Zakopane
 Miodowicz Dobrosława — m.i., 166, KW Warszawa
 Miodowicz Konstanty — m.i., 248, KAKA
 Młynarczyk Zbigniew — i., 70, KW Zakopane
 Mularz Paweł — i., 73, KW Kraków
 Musiał Ludwik — i., 57, KW Kraków
 Niedbalski Sławomir — m.i., 242, KW Olsztyn
 Olech Jerzy — m.i., 240, AKA Wrocław
 Orłowski Jan — i., 139, KKTJ Kraków
 Otręba Waclaw — i., 89, KW Trójmiasto
 Owczarek Ryszard — i., 82, KW Gliwice
 Paczkowski Andrzej — st.i., 3, KW Warszawa
 Paulo Andrzej — i., 90, PTNoZ Kraków
 Pawlikowski Maciej — i., 187, KW Zakopane
 Pępol Jerzy — m.i., 287, KW Olsztyn
 Piekarczyk Andrzej — i., 298, KW Warszawa
 Polakiewicz Tomasz — m.i., 172, KW Toruń
 Popko Maciej — i., 65, Speleoklub Warszawa
 Popowicz Andrzej — i., 91, KW Katowice
 Prokopek Władysław — st.i., 179, KW Bielsko-Biała
 Pustelnik Piotr — m.i., 190, AKG Łódź
 Rewaj Tadeusz — st.i., 92, KW Szczecin
 Rusiecki Jacek — st.i., 164, KW Kraków
 Samolewicz Andrzej — i., 243, KAKA
 Sarniak Władysław — m.i., 249, KW Wrocław
 Sidorowicz Antoni — st.i., 192, KW Wrocław
 Sienicka-Kalmus Barbara — i., 44, KW Jastrzębie

Skwirczyński Andrzej — i., 86, KW Kraków
 Solicki Tadeusz — st.i., 19, KW Warszawa
 Sonelski Waclaw — i., 297, KW Gliwice
 Sopicki Karol — m.i., 239, KW Bielsko-Biała
 Strzelski Bogdan — i., 165, KAKA
 Stefański Wiesław — m.i., 256, KW Kraków
 Szcześniak Ewa — m.i., 188, KW Łódź
 Słuzek Andrzej — m.i., 80, AKA Warszawa
 Smieszko Kazimierz — m.i., 53, Sudecki KW
 Świder Jan — m.i., 289, KW Kraków
 Święcicki Wojciech — i., 270, AKG Łódź
 Tatarczuch Zbigniew — m.i., 271, KW Kraków
 Wala Jerzy — st.i., 8, KW Kraków
 Waloszyk Piotr — m.i., 292, KW Warszawa
 Wilczyński Ludwik — i., 273, KW Toruń
 Witek Janusz — i., 250, KW Kraków
 Wisz Władysław — st.i., 169, KW Kraków
 Wojtasiewicz Leszek — st.i., 168, KAKA
 Wolf Jan — i., 174, KW Warszawa
 Zabdry Leszek — st.i., 4, KW Kraków
 Zakrzewski Andrzej — m.i., 211, KW Warszawa
 Zalewski Mirosław — m.i., 198, KW Trójmiasto
 Zawadzki Ryszard — st.i., 94, KW Kraków
 Zawadzki Paweł — m.i., 131, KW Warszawa
 Zdżitowiecki Krzysztof — st.i., 199, KW Warszawa
 Zierhoffer Marek — m.i., 268, KW Poznań

Komisja Szkoleniowa PZA

Pozegnania

**PIOTR
KOŁODZIEJ**



Zginął 1 października 1984 r. podczas wychodzenia w trudnych warunkach z nowodkrytej jaskini w masywie Cornion, w Picos de Europa w Hiszpanii. Urodził się 26 października 1946 r. w Kamieniu. Do Gliwic przyjechał, aby podjąć tu pracę i naukę (w r. 1970 ukończył Technikum Mechaniczne). Od tego też czasu datuje się jego zainteresowanie górami. Poznał turystycznie wszystkie rejonów górskie w Polsce. Był działaczem Oddziału Gliwickiego PTTK, członkiem Speleoklubu został w r. 1971. Działalność jaskiniową rozpoczął od jaskiń jurajskich, następnie przeszedł wszystkie większe jaskinie Polski. Dał się poznać jako wspaniały organizator i szkoleniowiec. Działal we władzach Speleoklubu, pełniąc najpierw funkcję sekretarza, a potem przez szereg lat prezesa. Brał udział w wyprawach zagranicznych do jaskiń Jugosławii, Węgier i Hiszpanii, kilkakrotnie pełniąc funkcję kierownicze (w r. 1984 był zastępcą kierownika). Oprócz działalności w jaskiniach uprawiał też wspinaczkę na powierzchni — w Tatrach Polskich i na Słowacji.

Poza górami pasją jego życia było esperanto — przez 20 lat korespondował w tym języku z przyjaciółmi z całego świata.

Pozostawił najbliższych — żonę, towarzyszkę wypraw, dwoje małych dzieci a także wielu przyjaciół. Ktoś powiedział kiedyś, że „człowiek żyje tak długo, jak długo żyje pamięć o nim”. Chcemy zawsze o Piotrze pamiętać.

Przyjaciele

**KRZYSZTOF
MOSINGIEWICZ**



13 lutego 1981 r. na północno-wschodnim filarze Ganku zginął Krzysztof Mosingiewicz, członek KW w Toruniu. Urodził się 25 lipca 1955 r. w Kutnie. Z Toruniem związał się w okresie studiów historycznych, które ukończył w r. 1978, a także późniejszą pracą na UMK. W naszym klubie zjawiał się jesienią 1974 r., mając za sobą wiele lat turystyki tatrzańskiej. Wspinał się aktywnie, po coraz to trudniejszych drogach. Spośród bardzo wielu wymieniłem kilka: directissime północno-wschodniej ściany Małego Młynarza, directissime północnej ściany Małego Kieźmarskiego, nową drogę na południowej ścianie Baranich Rogów, przejście zimowe drogi Palenička na południowej ścianie Jaworowego Szczytu. W swej działalności górskiej był Krzysz niewątpliwie sportowcem, stale podnosząc poziom i styl wspinania. Od Tatr przeszedł do gór prawdziwie wysokich, wchodząc na Noszak (7492 m). Jednocześnie jednak był kolegą, który nigdy nie żałował czasu na wspinanie ze słabszym partnerem, na drodze „gorszej” niż jego aktualne aspiracje.

Przez 5 lat pracował w zarządzie klubu. Kierował obozami w Tatrach, szkolił na kursach, co robił z chęcią i niewątpliwym talentem, gdyż obok kompetencji miał też autorytet oparty na autentycznych osiągnięciach. Jego drugą pasją stanowiła historia. Był doskonałym studentem a potem — dwa lata tylko — pracownikiem naukowym. Historycy toruńscy twierdzą, że jego odejście to ogromna strata. Dla nas, przyjaciół z gór, również. I gdy teraz o Krzysku, z którym tyle snuliśmy planów na przyszłość, z wielkim żalem mówimy w czasie przeszłym, cieszymy się, że mieliśmy go między nami.

Jarosław Zaremba

WOJCIECH PASZYŃSKI



Urodził się 14 lutego 1941 roku. Z naszym środowiskiem zetknął się już jako dojrzały, 35-letni człowiek. Nie był to jego pierwszy kontakt ze sportem: w latach szkolnych udzielał się jako obiecujący junior w sekcji lekkoatletycznej KS „Korona”. Po latach spotkał w skałkach kolegów, z którymi kiedyś rywalizował na lekkoatletycznych boiskach.

Kolejno zdobywał stopnie taternickiego wtajemniczenia, rozpoczął samodzielne wspinaczki w lecie i w zimie, uwieńczone zdobyciem stopnia instruktorskiego. Aktywnie działał na terenie KW Kraków, organizując wyjazdy w Tatry. Inspirował również wyprawy w bardziej odległe góry, był m.in. uczestnikiem wyjazdu FAKA w Pamir w r. 1979, wyprawy „Changabang 1981” oraz ostatnio krakowskiej wyprawy „Zanskar 1984”, w której trakcie wszedł na przypuszczalnie dziewięć P.1 (ok. 6000 m). Był również doświadczonym podróżnikiem — zwiedził m.in. Indie, Sri Lankę, Tajlandię, Tunezję, Algierię i Maroko. Nie zaniedbywał przy tym działalności zawodowej, pracując jako ceniony artysta-plastyk (był m.in. autorem projektu odznaki instruktora PZA). Jego kolejnym marzeniem były Andy, marzeniem niespełnionym, przerwany 29 stycznia 1985 r. tragiczną śmiercią w lawinie na wschodnich stokach Kościeleca.

Leszek Zabdry



ANDRÉ CONTAMINE

Fot. Janusz Vogel

W dniu 22 marca 1985 zmarł znany alpinista, narciarz i przewodnik alpejski, André Contamine. Urodzony w r. 1919 w Chamonix, wstąpił się najpierw jako autor nowych dróg, których wytyczył przeszło 30, z tego ok. 40 w samym tylko masywie Mont Blanc, Aiguille Verte, zachodnia ściana Petites Jorasses, południowy filar Grand Dru, wschodnia ściana Moine, północna Triolet — to tylko kilka z nich. Wspinał się w górach Afryki, w r. 1956 uczestniczył w II wejściu na Mustagh Tower (7273 m), nową, niezwykle trudną jak na tamte lata drogą. Od r. 1956 był profesorem ENSA, gdzie w 1975 r. objął stanowisko kontrolera szkolenia alpinistycznego i narciarskiego. W weszłym roku przeszedł na zasłużoną emeryturę. Jako nauczyciel alpinizmu wiele wniósł do rozwoju techniki lodowej, jako ratownika (wziął udział w 70 poważnych akcjach) — do wręgnięcia w służbę helikopterów, z którymi udane próby przeprowadzał już ok. 1935. Był także wybitnym fotografem i filmowcem górskim. Do jego partnerów wspinaczkowych należeli Terray, Franco, Lachenal, Rébuffat,

Paragot, Desmason i inni francuscy mistrzowie. W r. 1968 gościliśmy „Conte” w Polsce, gdzie miał wielu serdecznych przyjaciół i gdzie zakończył w zimowych Tatrach. Był kawalerem licznych odznaczeń, m.in. Légion d'Honneur.

Józef Nyka

IVAN HOUDEK

24 stycznia 1985 r. odszedł od nas na zawsze czołowy słowacki tatrolog, członek honorowy IAMES i nosiciel tytułu „zasłużony działacz kultury”, inż. Ivan Houdek. Urodził się 13 stycznia 1887 r. w Ružomberku — 98 lat temu. Pozostawił 28 książek popularnonaukowych i przeszło 200 artykułów poświęconych sprawom ochrony przyrody, krajoznawstwu, zabytkom architektury, historii Słowacji. W centrum jego zainteresowań stały zawsze Tatry, zwłaszcza Wysokie. Wiąże się z nimi przeszło 100 z jego publikacji — znaczna ich część dotyczy historii nazewnictwa Tatr, której Zmarły był wybitnym znawcą. Swą głęboką wiedzę o prehistorii pasma, osadnictwie na jego przedpolach, poszukiwaczach skarbów, pasterzach, badaczach, turystach i taternikach zawarł w dwóch wydaniach książki „Osudy Vysokých Tatier” (1936, 1951). Jego ostatnia praca książkowa, „Osudy Tatier”, napisana do spółki z Ivanem Bohušem, wyszła w r. 1976, kiedy minął już dziewięćdziesiątkę. W książce tej — Witold H. Paryski nazwał ją „jednym z najwybitniejszych dzieł z problematyki tatrzańskiej” — objął zasięgiem całe już Tatry, włącznie z Zachodnimi i Bielskimi. Ivan Houdek pracował do ostatniego technika. Ostatni artykuł ogłosił mając lat 96, aż do zgonu zbierał materiał do kolejnego rozbudowanego wydania „Osudov”.

Jego dorobek autorski stanowi trwały wkład w dzieło poznania Tatr, gór wszystkim nam najbliższych.

Svetozár Krno

WRESZCIE POLSKIE LEKKIE KARABINKI

W r. 1974 informowałem na łamach „Taternika”, że Zjednoczenie Przemysłu Sprzętu Sportowego „Polsport” rozpoczęła produkcję lekkich karabinków. Od tego czasu minęło 11 lat — i nie! Aż wreszcie w marcu 1985 r. pierwsza seria lekkich karabinków opuściła warsztat rzemieślniczy Romana Thena w Bielsku-Białej. Tym razem boje o materiał, technologię itp. trwały „tylko” 5 lat. Z partii materiału zakupionej przez PZA wyprodukowanych będzie ok. 16 000 karabinków — w kilku modelach. Nieco danych technicznych: materiał — PA7, preł o przekroju 11 mm, wytrzymałość (według danych Zakładu Metaloznawstwa IMZ w Gliwicach) nie mniejsza niż 2300 kG. W toku jest dodatkowa ekspertyza zespołu rzeczoznawców Komisji Bezpieczeństwa Górskiego PZA. Zakład w Bielsku-Białej produkuje też karabinki stalowe, zaopatrzone w bezpieczniki. Cała produkcja rozprowadzana będzie za pośrednictwem PZA.

Tadeusz Solicki

W GÓRY Z KOMPUTEREM

Pisząc o udziale Chrisa Boningtona w wyprawie norweskiej na Everest (17 osób na szczycie!) prasa wspominała o tym, że miał on z sobą komputer, który okazał się cenną pomocą w realizacji zadań. Nie było to pierwsze zastosowanie komputera w alpinizmie. Sam Bonington posługiwał się nim już przy swych wcześniejszych wyprawach. W Schweizer Alpenclub studiowany jest projekt wręgnięcia komputera do organizacji wypraw i kursów, osobno rozważa się sprawę komputeryzacji gospodarki klubu. Projekt wspólnego komputerowego „banku” informacji wyprawowej i alpinistycznej był tematem narady British Mountaineering Council i American Alpine Club. Do przetwarzania informacji jako jedną z pierwszych wprowadziła komputer Służba Informacyjno-Dokumentacyjna Planinskiej zvezy Jugoslavije — rozpoczął on pracę minionej zimy.

TATERNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA,
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Redaktor: Józef Nyka, ul. Klauzyny 12 m. 79,
01-684 Warszawa. Tel. 330-775.

Adres Redakcji:

04-028 Warszawa; Młodzieżowa Agencja
Wydawnicza – ul. Stanów Zjednoczonych 53
p. 227 (II piętro).
Tel. 13-20-40 do 49 w. 318 lub 297.

Adres Polskiego Związku Alpinizmu:

00-010 Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 444
Tel. 26-69-56

CENA NUMERU ZŁ 80

PRENUMERATA:

Institucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich bądź tych, w których znajdują się oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Institucje i zakłady pracy mieszczące się w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratory indywidualni zamieszkali w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych (przy użyciu „blankietu wpłaty”) na rachunek bankowy: Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie ul. Towarowa 28, nr konta NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumeratory indywidualni zamieszkali na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych bądź u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla instytucji i zakładów pracy.

WYDAWCA:

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, ul. Stanów Zjednoczonych 53. Telefon: Dyrektor: 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Biuro Reklam i Ogłoszeń, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 62. Telefon 28-07-32.

Druk: PZG RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Smolna 10/12. Zam. 322, N-26.

1 (258)

1985

CONTENTS

To the sources of alpine knowledge (M. Popko)	2
Polish mountaineering in 1984 (A. Paczkowski)	3
Programme of alpine instruction (L. Zabdyr)	6
Climbing ropes (A. Lwow)	9
Danger of acute mountain sickness (M. Stępika)	11
In American mountains 1980 (J. Majer)	13
Noshaq — 25 years after (J. Wala)	15
Lahul 1979 and 1984 (A. Zboński)	18
Eight-thousander for eight thousand (K. Palmowska)	20
Dhaulagiri winter ascent 1984—85 (A. Bilczewski)	22
Cho Oyu first winter ascent 1984—85 (A. Zawada)	25
Eleven days on Fitz Roy's NNW face (P. Lutyński)	29
Winter climbs in the Caucasus, 1985 (R. Kolański)	33
Rules of the free climbing (A. Kurowski, L. Miłczarek and J. W. Kubań)	33
Reseau des Aiguilles (K. Dudziński)	37

What's new in the Tatras? — 39; Rock scene — 40; Expeditions — 41; Caving — 43; Instructors of the PZA — 45; In memoriam — 46; Equipment — 47.

INHALT

Beschlüsse des Politischen Büros des ZK der Polnischen Vereinigten Arbeiterpartei	1
Zu den Quellen der Gebirgskunde (M. Popko)	2
Das Bergsteigen in Polen in 1984 (A. Paczkowski)	3
Die Ausbildungsarbeit im PZA (L. Zabdyr)	6
Selle und ihre Anwendung (A. Lwow)	9
Die Gefahr der akuten Bergkrankheit (M. Stępika)	11
In den Bergen Amerikas 1980 (J. Majer)	13
Noshaq — 25 Jahre danach (J. Wala)	15
Lahul 1979 und 1984 (A. Zboński)	18
Die internationale K2-Expedition 1984 (K. Palmowska)	20
Dhaulagiri im Winter 1984—85 (A. Bilczewski)	22
Cho Oyu erstmals im Winter (A. Zawada)	25
Fitz Roy 1984 — neue Route (P. Lutyński)	29
Neue Winterfahrten im Kaukasus (R. Kolański)	33
Über Kletter-Regeln und Kletter-Stil (A. Kurowski, L. Miłczarek und J. W. Kubań)	33
Wintersaison 1984—85 in den Schnee gruben (W. Janowski)	36
Reseau des Aiguilles (K. Dudziński)	37

Neues aus der Hohen Tatra — 39; Felsklettern — 40; Expeditionen — 41; Höhlenforschung — 43; Lehrausbilder des PZA — 45; Nachrufe — 46; Ausrüstung — 47; Bücher und Karten — 49.

Recenzje

Zarząd Topograficzny Sztabu Generalnego WP: Tatrzy Polskie — mapa topograficzna 1:10 000. Warszawa 1984. Nakład 30 000 egzemplarzy, cena zł 1200. Jako dodatek książeczka z objaśnieniami i skorowidzem nazw (s. 55).

„Wojsko miłośnikom Tatr” — tak można by w skrócie ująć ideę tej mapy. Czekaliśmy na nią szereg lat i oto jest — za niebagatelną sumę 1800 zł, ale też arkuszy 15 i „czytania” na długie wieczory. Mapa jest ładna i bardzo szczegółowa. Mamy dokładne wysokości Granatów, wiemy ile metrów liczy Wołoszyn (2145 m), wiemy, a były co do tego wątpliwości, że Kościelec jest o 7 m niższy od Zadniego Kościelca. Rozstrzygnięte zostało pytanie co do orientacji ściany Mnicha; jest ona południowo-wschodnia, jak tego kiedyś w „Taterniku” dowiódł Bernard Uchmański. Gęste i czytelne warstwicę pozwalają na dokładne obliczanie wysokości ścian, ich rzęby jednak nie odzwierciedlają — lepsze były, choć w mniejszej skali, fachowe interpretacje Zbigniewa Korosadowicza. Pewne zdziwienie budzą nowe zmiany w wysokościach szczytów. Na ogół chodzi o różnice 1-3 m, ale są też skoki 5-a nawet 10-metrowe, jak np. przy Opalonym Wierchu, który wraca do starej wartości austriackiej (2115 m). Nasuwa się tu pytanie: jaki jest sens podawania wysokości do decymetrów włącznie, skoro nie ma pewności co do całych metrów? Ma też mapa nieco usterek, przykładowo wymiemy brak kot przy Krokwi i Lysanach (także na panoramie), uproszczenia linii granicznej w rejonie Zabiej Grani czy zbytne szafowanie sygnaturami jaskiń. Ale to już naprawdę detale.

Dziękując Sztabowi Generalnemu za tę wspaniałą mapę wysuńmy nieśmiało propozycję: może służby topograficzne wojsk PRL i CSRS połączyłyby wysiłki i obdarzyły nas wspólnie opracowaną mapą całych Tatr, w skali 20-30 000? Tatrzy są przecież jedne, a armie zaprzyjaźnione...

Józef Nyka

Ivan Dieska: Horolezectwo zblizka. Wydawnictwo „Sport”, Bratislava 1984; s. 304, nakład 20 000. Cena Kčs 44.

Znany słowacki taternik, Ivan Dieska, przygotował książkę, której celem jest zaprezentowanie szerokiemu gronu odbiorców problematyki taternictwa, alpinizmu i himalaizmu. W 5 dużych rozdziałach czytelnik znajdzie dane o historii zdobywania gór, pionierach, rozwoju ideologii, różnych dyscyplinach alpinizmu, zdobywcach wspinaczkowych w Tatrach, Alpach i wielu innych masywach górskich. W osobny 50-stronowy rozdział autor wydzielił problematykę wspinactwa skalnego. Z praktycznego punktu widzenia najcenniejszy jest rozdział VI



(70 stron), zawierający skrótove monografie geograficzno-alpinistyczne najbardziej znanych regionów wspinaczkowych świata, uzupełniane przejrzystymi mapkami. Czytelnika znad Wisły nieomło uderzy marginalne — zwłaszcza jak na tak bliskie sąsiedztwo — potraktowanie spraw alpinizmu polskiego. Nie chodzi tu zresztą wcale o wybujałą megalomanię polskich wspinaczy. Ale jeśli na 140 zamieszczonych w książce indywidualnych portretów alpinistów z całego świata nie ma ani jednego Polaka (!), to coś tu nie gra. Indeks osób złożony z ok. 1400 pozycji zawiera tylko 12 polskich nazwisk. Brak w nim — i to jest zupełnie niezrozumiałe — nie tylko Chmielowskiego, Stanisławskiego, Paryskiego, Korosadowicza, ale także Kurtyki, Kukuczki, Heinricha, Czoka, Chrobaka, jak i wielu innych Polaków, którzy bez przesady więcej dziś znaczą od niejednej zachodniej „slawy”. Podobnie jest z tabelą wejść na najwyższe szczyty (s. 155-157), gdzie przy 4 polskich zdobywcach widnieją puste rubryki.

Przykre to, ale i tak z czystym sumieniem polecam książkę Dieśki każdemu, kto będzie miał szczęście ją kupić.

Andrzej Skłodowski

Zespół autorów: Everest '82. Woschozdenie sovetskikh alpinistov na wysocajszuju veršynu mira. Zestawili: Paweł Pawłowicz Zacharow. Wyd. „Fizkultura i Sport”, Moskwa 1984. S. 367, zdjęcia, mapy i szkice. Cena 5 r. 70 kop.

Pod każdym względem udana radziecka wyprawa na Everest wiosną 1982 r. (T. 2/82 s. 67) doczekała się godnego zamknięcia: ogólnie chwalonego filmu i naprawdę dobrej książki, przygotowanej przez duży zespół autorów i żywo zredagowanej przez Erlena Kiljana. Składają się na nią 3 części: duży reportaż dziennikarza Jurija M. Rosta (ss. 7-88), wklejka albumowa (ss. 91-256) i relacje 18, a więc prawie wszystkich uczestników (ss. 259-342). Jest jeszcze obszerny i starannie zestawiony aneks, zawierający kalendarium, grafiki wejść, tabelę wypraw na Everest 1921-82, słowniczki itp. Jeśli chodzi o teksty dążeniem autorów było

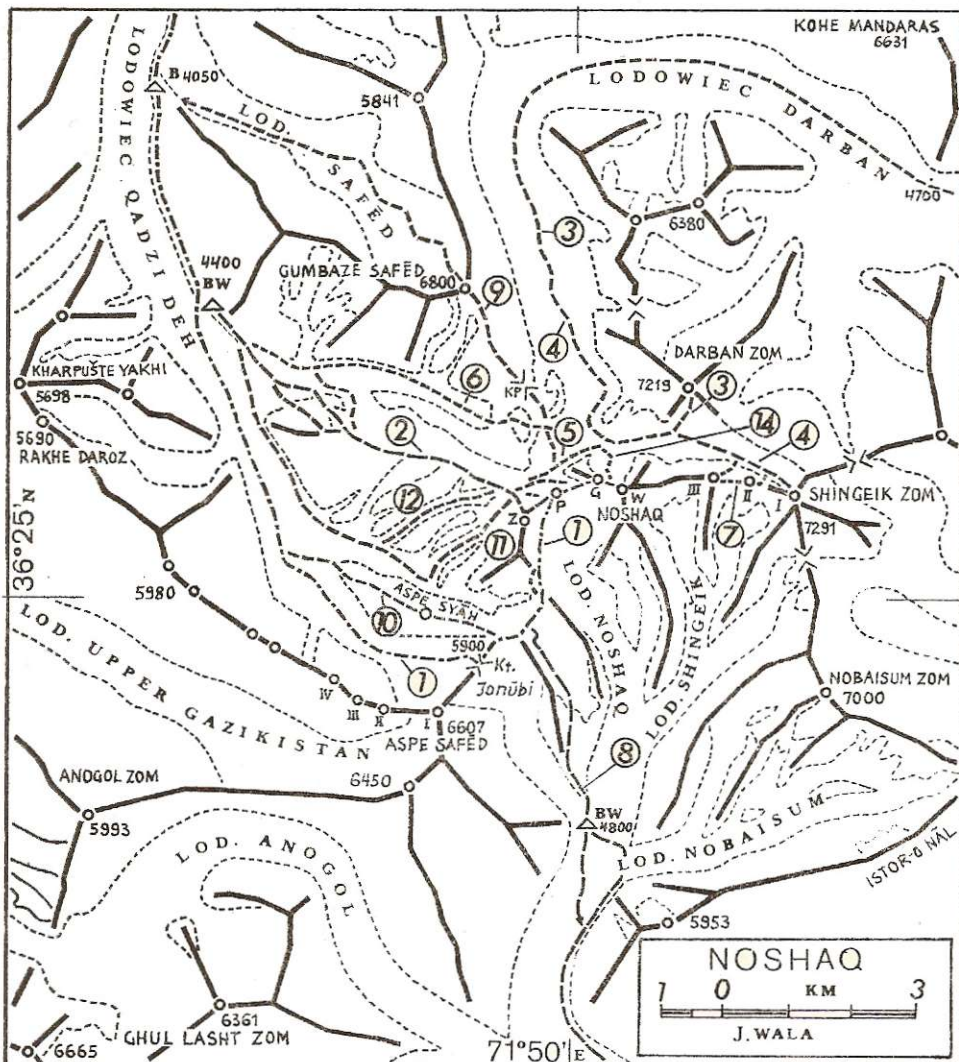
pokazać wyprawę bez ubarwień — od strony zespołu z wszystkimi jego konfliktami i spięciami, nieuniknionymi w zbiorowisku silnych indywidualności działających w warunkach stresu. Polski czytelnik, przywykły do wyprawowych improwizacji, z zainteresowaniem przeczyta partie mówiące o wręcz pedantycznych przygotowaniach do himalajskiej eskapady. Ciekawy jest ładnie wydrukowany album, w którym jednak zbyt wiele miejsca poświęcono egzotyce Nepalu, a zbyt mało samej operacji wspinaczkowej. Ale i z tych nielicznych zdjęć z akcji widać, jak niezwykle trudności zostały pokonane przez radzieckich skaolazów. Nie brak i poloników; w tekstach kilka razy mowa jest o polskiej wyprawie 1979-80, a historyczna część albumu zawiera zdjęcia Wandy Rutkiewicz, Andrzeja Zawady, Leszka Cichego i Krzysztofa Wielickiego. O międzynarodowym zainteresowaniu książką świadczy to, że w kilku krajach przygotowuje się jej wydania obcojęzyczne, rozważana jest też edycja polska, która oby ukazała się jak najszybciej.

Józef Nyka

Marek Malatyński: W tieniu Kangczendzangi. Przekład S.I. Larin. Wyd. „Myśl”, Moskwa 1983; s. 206, nakład 70 000. Cena 1 r. 80 kop.

Marek Malatyński: Im Schatten des Kangchendzonga. Przekład Hubert Sauer-Zur. Brockhaus Verlag, Lipsk 1984; s. 244.

W końcu ubiegłego roku do polskich księgarń trafiły niemal równocześnie nieliczne egzemplarze dwu obcojęzycznych wydań znanej książki Marka Malatyńskiego „W cieniu Kangczendzangi” (1978). Oba przekłady są bardzo dobre, a szata edytorska książek na wysokim poziomie. Ilustracje w wydaniu niemieckim są bez porównania lepsze, niż w oryginalnej edycji „Iskier”. Obe wersje ukazały się w 10 lat po sukcesie wyprawy PKG na Kangbachenie, mimo to zachowują aktualność: pierwsze wejście na szczyt niemal 8-tygodniowy jest faktem historycznym o trwałym znaczeniu. Szkoda tylko, że Marek nie może już cieszyć się nimi.



Lodowiec — glaciec — yakhchal, piryakh; KP — Kotale Potocki; B — baza i PWH 1960

Latem 1985 r. alpinizm polski obchodzi 25-lecie swego powojennego powrotu na wielkogorskie szlaki — wyprawy w Hindukusz, zorganizowanej latem 1960 r. przez Bolesława Chwaścińskiego. Wyprawa ta otworzyła dziewiczy rejon górski nie tylko dla Polski, ale i całej Europy. Nasze liczne wyprawy w Hindukusz przyniosły bogate wyniki eksploracyjne a także — co jest może nawet ważniejsze — stały się podstawą późniejszych wielkich sukcesów w Himalajach. Jesienią odbędzie się w Krakowie sympozjum hinduskie, na s. 15 tego numeru zamieszczamy jubileuszowy artykuł o Noszaku, do którego należy powyższa mapa.